1259

PAŃSTW. LIB... ...OGICZNEGO
w Kielcach
Dr. 1293.

WIELKI ŚWIAT CAPOWIC

CZYTELNIA
przy Księgarni
F. KORNA
w Warszawie
65 Marszałkowska 65
przy rogu Pięknej
Telefon 133 57
№ 579

140632

JAN LAM

BIBLIOTEKA
PAŃSTW. LIC[illegible] [illegible]OGICZNEGO
w Kielcach

WIELKI ŚWIAT CAPOWIC

POWIEŚĆ SATYRYCZNA

W 1239

Państwowe Seminarium Naucz. Męskie
im. St. Żeromskiego w Kielcach
Dz. Inw. II Nr. 378

BIESIADA LITERACKA

Biblioteka WSP
w Kielcach
dublet

671

401292 $6

[1869] ?

W drukarni Synów St. Niemiry, plac Warecki 4.

ROZDZIAŁ I,

w którym szanowna publiczność może zrobić znajomość z najwyższemi sferami urzędowemi miasta Capowic i dowiedzieć się ciekawych szczegółów co do topografii i statystyki powiatu capowickiego.

Są niedowiarki, którym istnienie miasta Capowic wyda się może problematycznem, bo niema tak jasnej i prostej rzeczy pod słońcem, by złość i przewrotność ludzka nie podała jej w wątpliwość. Wszak niedawno jeden z najjadowitszych korespondentów jednego z najprzewrotniejszych organów opinii publicznej ośmielił się zakwestyonować istnienie Prześwietnej Rady Powiatowej buczackiej, z powodu, że nawet w najbliższej okolicy starożytnego grodu buczackiego nie słychać było dłuższy czas o żadnej czynności tego ważnego organu autonomii krajowej. I byłby świat uwierzył złośliwie rozszerzonej wieści, gdyby nagle nie była gruchnęła wiadomość, że JW. marszałek powiatowy, jako kawaler orderu św. Grzegorza, i jako kierownik samorządu powiatowego, przy pomocy Wgo wice-marszałka, ułó-

żył adres, w którym pp. członkowie Rady, przejęci ważnością stanowiska swego i potrzebą uczynienia zadość położonemu w nich zaufaniu współobywateli, objawić mają Ojcu Świętemu głębokie ubolewanie swoje z powodu różnych rzeczy, mających nader pośrednią styczność ze sprawami okolicy buczackiej i wszystkich okolic polskich wogóle. Czy wiadomość ta potwierdza się, czy nie, zawsze świat nie będzie mógł nadal ignorować istnienia Rady Powiatowej buczackiej.

Z Capowicami trudniejsza pod tym względem sprawa, albowiem od roku 1867 miasto to upośledzone jest i pozbawione należącego mu się znaczenia, z powodu zwinięcia istniejącego tamże urzędu powiatowego, i zepchnięte do rzędu nic nieznaczącego partykularza, położonego w obrębie starostwa kozłowickiego, w jednej z ośmiu wicegubernij galicyjskich. Nietylko tedy właściciela Capowic, Wgo Imci pana Kalasantego Capowickiego, ominęła sposobność przewodniczenia własnej, osobnej, capowickiej Radzie Powiatowej, ale nawet propinacya od tego czasu z 3,700 złr. spadła na 3.100 złr. i ziściły się niezmierne ekonomiczne, socyalne i polityczne klęski, które ludność Capowic i przyległych włości przewidywała w petycyach do Sejmu, wnoszonych przeciw przeniesieniu urzędu powiatowego do Kozłowic. Handel, przemysł, rękodzieła, i t. d. upadły, bo konsumcya cukru, kawy, rumu, mięsa i innych ważnych artykułów zmniejszyła się o kilkaset złr. rocznie, a szewcy miejscowi, odkąd utracili sposobność zarobku, jaką im nastręczali panowie c. k. dyurniści

powiatowi, są prawie zupełnie bez zatrudnienia. Jednem słowem, Capowice są dziś jawnym i do nieba o pomstę wołającym dowodem, jak dalece szlacheckie rządy hr. Gołuchowskiego były dla kraju zgubnemi i jak dalece delegacya nasza w Wiedniu oddała cały kraj ze związanemi rękoma na pastwę centralizacyi, która — dla Capowic — siedzibę swoją założyła w Kozłowicach, z narażeniem na szwank wszelkiej godności narodowej i zasad, od których ani na krok odstępować nie powinniśmy.

Ostatnie te słowa nie są moją własnością literacką: wyjąłem je z korespondencyi, którą p. Kalasanty Capowicki umieścił w pewnym dzienniku, stojącym na straży „godności i ducha narodowego," a cieszącym się względami JW. właściciela Capowic, odkąd tenże przyłączył się do opozycyi. To nawrócenie się pana na Capowicach, Capówce i Capowej Woli do zdrowych zasad narodowych nastąpiło tego samego dnia, w którym Rada Powiatowa kozłowicka, 14 głosami przeciw 12, wybierając marszałkiem pana Kuderkiewicza, dzierżawcę Głęboczysk i nawet nie szlachcica, przekonała p. Kalasantego namacalnie o zgubności tak zwanej polityki utylitarnej. Od tego więc czasu, JW. Capowicki, wraz z sąsiadem swoim, Wnym Tadeuszem Bzikowskim z Małostawic, stoją na czele malkontentów w powiecie kozłowickim, i jeżeli prenumerują *Gazetę Narodową*, to tylko dlatego, że jak powiadają, dobrze jest wiedzieć, co też mówi się i robi w obozie przeciwnym.

Ale nie wyprzedzajmy biegu wypadków. W cza-

sie, w którym się działy rzeczy, stanowiące przedmiot niniejszego nader wiarygodnego opowiadania, Capowice używały jeszcze w całej pełni dobrodziejstw własnej swojej autonomii, a JW. Capowicki nietylko nie pisywał do dzienników opozycyjnych przeciw polityce utylitarnej, ale nawet jako prezes stał na czele obwodowego komitetu, złożonego w celu zbierania składek na sformowanie lekkokonnego pułku ochotników narodowych, z niemiecką komendą, który to pułk pod dowództwem JEks. pana hr. Starzeńskiego byłby się niezawodnie mocno naprzykrzył Prusakom, gdyby w zuchwałości swej posunęli się byli aż do Sędziszowa, albo do Ropczyckiej Góry. Nadmienię przy tej sposobności, że JW. Capowicki w owych pamiętnych czasach przyczynił się 50ma guldenami, trzema funtami szarpij i kilkoma bandażami do ocalenia Monarchii Austryackiej, za co później nie on, ale starosta obwodowy, p. Mantschberger, otrzymał krzyż kawalerski orderu Franciszka Józefa, bo prawdziwa zasługa nigdy nie bywa wynagrodzoną i jedyną rzeczą, która zostaje w dzisiejszych czasach każdemu, własną i narodową godność należycie oceniającemu synowi ojczyzny, jest wierne i konsekwentne trwanie przy sztandarze opozycyjnym, jak słusznie powiada JW. Capowicki w innej znowu korespondencyi swojej do dziennika opozycyjnego.

Miały tedy Capowice w r. 1866 własną swoją autonomię i własny swój urząd powiatowy, i nie potrzebowały udawać się po wymiar sprawiedliwości politycznej do Kozłowic, co jest najlepszym dowo-

dem, że Capowice istnieją rzeczywiście i że należy im się kartka w historyi, tak, jak należy Sniatyniowi za to, iż posiada owych znanych dwóch koryfeuszów, albo Brodom za to, że przestały płacić pensyę nauczycielom szkół miejskich i od tego rozpoczęły oszczędność w swoim budżecie, albo stolicy galicyjskiej za to, że wolna od wszelkich przesądów szczepowych i narodowościowych, pielęgnuje tak starannie teatr niemiecki.

Wątpliwość, co do istnienia Capowic, pochodzi po części stąd, że podróżny, opuściwszy gościniec rządowy, prowadzący ze Lwowa do granicy kraju, i porobiwszy przez kilka godzin bardzo bolesne doświadczenie co do niedoskonałej budowy i jeszcze niedoskonalszej reparacyi gościńca krajowego, prowadzącego w te strony, gdy na przestrzeni 3 mil zapłaci pięć razy myto przy pięciu różnych rogatkach i dwa razy mostowe od mostów, których egzystencya i potrzeba nawet w całej podróży wydaje mu się wątpliwą, gdy następnie minąwszy karczmę, należącą do Głęboczysk, i złamawszy dyszel tuż koło piątej rogatki, gdzie zapłacił po 12 centów od konia za dobrodziejstwo używania gościńca krajowego, a złamawszy go z powodu nieprzewidzianej, wielkiej dziury w samym środku gościńca, nieoznaczonej wcale na mapie Kumersberga — gdy następnie, powiadam, podróżny ten dojedzie do wielkiego krzyża, samotnie sterczącego w polu i obok tego krzyża ujrzy i odczyta na białej tablicy napis: *Kreis et caet., Bezirk et caet.* — *Stadt Zappowitz*, wraz z przekładem polskim: — ogląda się daremnie na wszystkie strony

światа za miastem, którego blizkość zapowiada owa biało pokostowana etykieta, świadcząca oraz o piśmienności i cywilizowanej dwujęzyczności capowiczan. Zmrok zapadł już bowiem, choć szanowny P. T. podróżny jeszcze przed południem opuścił główny gościniec lwowski, na prawo i na lewo, z przodu i z tyłu, najbystrzejszy wzrok nie spostrzeże niczego, oprócz szarej płaszczyzny, gubiącej się w cieniu, i szarego nieba, na którem samotna jakaś gwiazda migoce i mruga, jak gdyby ją senność zbierała na widok tej wszechszarej przestrzeni, przypominającej puste grządki ogrodu botanicznego we Lwowie, gdzie na miniaturowych, białych tablicach można także wyczytać rozmaite napisy, ale gdzie daremnem byłoby szukać za należącemi do nich roślinami.

Wtem, nagle, woźnica skręca w bok, bryczka stacza się z niesłychaną szybkością z jakiejś nader przykrej pochyłości, najeżonej niemniej przykremi przeszkodami w kształcie różnych kamieni, prętów, wybojów i t. p., błoto bryzga szanownemu P T. podróżnemu wyżej uszu, woźnica woła naprzemian to: het, hejt! to znowu: wiśt! wiśt! bryczka skacze, nurza się, przechyla, szybkość jej pędu wzrasta z każdą chwilą, aż nakoniec — traf! łamie się koło, szanowny P. T. podróżny znajduje mięciutkie posłanie w błocie, na trzy stopy głębokiem, jego tłomok, parasol, koc i słoma z bryczki, jako też worek z obrokiem, nakrywają go i osłaniają przed dalszemi przeciwnościami, woźnica woła: A bodajś! a trzysta.... i tam dalej— i oto znajdujemy się na samym środku rynku w Ca-

powicach, i tem samem wskazujemy *in medias res* naszego opowiadania.

Od czasu, jak kosztem konkurencyi gminnej dworów przyległych, i dzięki staraniom niezapomnianego naczelnika powiatowego, p. Maulschellhofera, obdarzonego za to inseratem w gazetach, wyrażającym mu dozgonną wdzięczność powiatu capowickiego, powiodło się za nic nieznaczącą sumę 180.000 złr. w. a. wykończyć projektowane oddawna połączenie Capowic z tak zwaną „cesarską drogą“ za pomocą krajowego gościńca i pięciu czerwono-niebieskich rogatek, niepamiętną jest rzeczą, by ktokolwiek, nieobeznany bliżej z topografią Capowic, odbył swój wjazd do tego miasta inaczej, aniżeli w sposób powyżej opisany — osobliwie, jeżeli nie przenocował w Wygodzie Głęboczyskiej i nie czekał białego dnia do odbycia tego tryumfalnego wjazdu. Szanowna publiczność, której przychylny los pozwolił czytać powieść niniejszą, odniesie tedy znaczną korzyść z tej lektury i będzie to uważała za zbawienną ostrożność, wysiąść z bryczki koło tablicy „*Stadt Zappowitz*“ i odbyć resztę drogi pieszo.

Ale bądźcobądź, jesteśmy już w Capowicach, i mamy po lewej stronie „ratusz,“ a po prawej koszary c. k. żandarmeryi, opodal zaś gmach urzędu powiatowego, czyli, używając krótszego wyrażania lokalnego, becyrk. Ratusz jest oczywiście oraz domem zajezdnym, i różni się od Wygody Głęboczyskiej co do budowy swojej i całej zewnętrznej okazałości tylko tem, że podczas gdy lewe skrzydło,

przybudowane do głównego korpusu, zawiera tylko takie same „kuczki," jak na Wygodzie, natomiast prawe skrzydło, oprócz jakiegoś budyneczku, mogącego służyć za chlewek, gdyby Mojżesz nie był zabronił starozakonnym hodowania nierogacizny, zawiera jeszcze i bazar capowicki, mieszczący w sobie dwa najokazalsze sklepy, jako to: korzenny handel pani Heni Silber i bławatny handel pana Abrahama Gold, vulgo Abrumka — o czem świadczą zresztą bardzo wymownie dwa szyldy, jeden niebieski z białym, a drugi z czerwonym napisem, a obydwa z ortografią, nieustępującą w niczem tej, jakiej używają pp. kupcy lwowscy ku zbudowaniu i rozweseleniu przechodniów. Cały „ratusz" jest własnością JW. Kalasantego Capowickiego, pana na Capowicach, Capówce i Capowej Woli; dzierżawcą zaś tego uwagi godnego gmachu jest Dudio, jeneralny propinator, a oraz właściciel handlu win, dostarczającego węgierskich i austryackich nektarów całej okolicznej szlachcie i całemu Prześwietnemu c. k. becyrkowi, z wyjątkiem tych podrzędnych reprezentantów władzy, których miesięczna płaca, po odtrąceniu czynszu za pomieszkanie i należytość Herszkowi w jatkach, nie wystarcza na kupienie butelki nawet takiego wina, jakie sam Dudio uważa już za „cokolwiek podlejsze." Jaki smak ma to wino, o tem nie wie nikt, kto według wschodniego obrządku nie komunikował się pod obydwoma postaciami, albo przynajmniej nie bywał na prażnikach, gdzie zwykle serdeczność przyjęcia i obfitość darów Bożych przeważa nad ich jakością. Jeżeliby jednak który

z szanownych czytelników, dla wydoskonalenia się w znawstwie winnem, zapragnął wiedzieć, co Dudio nazywa „cokolwiek podlejszem“ winem, niechaj do kwaterki tęgiego, burakowego barszczu doda parę naparstków żytniówki, nieco soku z kwaśnych ogórków, kilkanaście miałko utłuczonych ziarnek pieprzu i łut papryki — a podniebienie jego dozna tak błogich i rozkosznych wrażeń, jak moje na imieninach w Capowej Woli u ks. proboszcza Łuckiewicza, którego liwerantem od lat kilkunastu jest Dudio.

I są jeszcze ludzie, którzy twierdzą, że sprowadzamy z zagranicy wielką część artykułów, potrzebnych nam do codziennego życia!

Okazalszym nad wszelką okazałość capowicką jest becyrk — dziś niestety ogołocony już ze swojej świetności i niemieszczący więcej tych biur, których obecności Capowice zawdzięczały swój ruch handlowy i kwitnący rozwój ekonomiczny. Budynek ten piętrowy, murowany, kryty gontami, na dole w sześciu obszernych pokojach mieścił owego czasu kancelarye urzędu i sądu powiatowego, na górze zaś, oprócz biura prezydyalnego, znajdowało się pomieszkanie pana naczelnika powiatu, czyli — dlaczegóż mamy używać jakichś obcych wyrazów, skoro mamy swoje? — czyli więc pana forsztechera, wraz *mit der werthen Familie.*

Die werthe Familie stanowił najprzód sam pan forszteher, Wacław Precliczek, piszący się naówczas *Wenzel Pretzlitscheck*, a teraz, odkąd jest na pensyi i osiadłszy we Lwowie, należy do Besedy czeskiej, używający z upodobaniem rodzinnej swojej pisowni:

Vaclav Precliček. Pan forszteher, jako głowa powiatu, był oczywiście najpierwszą i najważniejszą osobą w Capowicach, i powinienbym był wspomnieć o nim pierwej niż o Heni, o Abrumku, o Herszku, o Dudiu, gdyby nie nawyknienie miejscowe, które wbrew wszelkiemu porządkowi, nie szykowało znakomitości miejscowych *nach den Diaetenklassen*, ale kazało zawsze uważać Dudia za pierwszą osobę w powiecie, poczem szła Henia, Herszko, Abrumko, a dopiero po nich forszteher. W istocie, mniemanie to było zapewne mylnem i ubliżającem powadze urzędowej pana forsztehera i becyrku, ale niemniej jednakże jest rzeczą pewną, że kto miał bardzo trudny i bardzo ważny interes w becyrku, ten udawał się zwykle do Dudia, jeżeli mógł komunikować się bezpośrednio z tak *morejmorejną* osobistością, a jeżeli nie, to wpływał na niego za pośrednictwem jego bratowej, pani Heni Silber, albo jego szwagra, p. Abrahama Gold, albo jego zięcia, pana Hersza Fiszer, i dopiero przez te wszystkie instancye trafiał do biura prezydyalnego i — nigdy źle na tem nie wychodził. Nie można wątpić, że brak prawdziwej lojalności, który nawet w Capowicach nurtował potajemnie w sercach kilku indywiduów, bardzo pod politycznem względem podejrzanych, i zwykła zresztą złośliwość ludzka — rodziły mniemania tego rodzaju; ale były fakta, które przez fatalny jakiś zbieg okoliczności stwierdzały niezwykły wpływ zacnej rodziny Silberów, Goldów i Fiszerów na bieg administracyi politycznej i sądownictwa w powiecie capowickim. Niektórzy starozakonni, zarażeni no-

woczesnemi, rewolucyjnemi pojęciami o wolnej konkurencyi, nie mogli pojąć, dlaczego oprócz Herszka nikomu nie wolno było trzymać jatek, mimo ustawy o wolności zarobkowania i mimo złego towaru a wysokich cen, w których p. Fiszer miał szczególne upodobanie. Oczywiście, iż gdy na stół p. forsztehera dostawało się zawsze tylko bardzo wyborne mięso, i to funt po 8 centów, więc wszystkie te złośliwe szepty nie miały najmniejszej podstawy... ale jak w kwestyi jatek, tak i w innych drobiazgowych materyach tego rodzaju, malkontenci nie przestawali szerzyć głośnych utyskiwań, które w końcu sprowadziły kilka razy do Capowic rozmaite komisye, to z namiestnictwa, to sądu obwodowego. Lecz komisye te, zaprzysiągłszy po kilkadziesiąt świadków, i zasusupendowawszy jednego lub drugiego kancelistę powiatowego, zmuszone były uznać, że jakkolwiek skarb publiczny wydał każdą razą po kilkaset złr. na dyety i koszta podróży, to wdatek ten jest niczem wobec świeżo potwierdzonego i nader pocieszającego przekonania, iż postępowanie pana forsztehera jest ściśle prawne, sumienne i nienaganne, i że wszystkie skargi przypisywać należy *den fortwährenden Umtrieben der rastlosen polnischen Umsturzpartei.*

Ta *Umsturzpartei* była zmorą, która trapiła ciągle pana forsztehera, odbierała mu sen w nocy, apetyt we dnie, zatruwała mu goryczą każdy zajdel piwa, każdą fajkę schwarz-drei-kȯnigu. — Spisywał o niej obszerne memoranda prezydyalne, więził wszystko, co tylko nie było całkiem niepodejrzanem, i całe sągi sześcienne protokułów, rysopisów, listów

gończych, okólników i t. p. były owocem tej niezmordowanej pracy. Sam pan Kalasanty Capowicki, jakkolwiek prezes komitetu w celu formowania Krakusów, nie uszedł kilku nader ścisłym i surowym „amtschandlungom;“ sam ksiądz Zając, proboszcz i dziekan capowicki, musiał stawać do protokółu, jakkolwiek wiadomem było powszechnie, że przed drzwiami plebanii skonał raz w roku 1864 z głodu i nędzy powstaniec, przed którym zamknięto na klucz drzwi tego zacnego kapłana.

Niestety! Pan Precliczek, wiecznie tropiący za emisaryuszami, za ludźmi, niezaopatrzonymi w pasporty i w karty pobytu, za transportami broni i amunicyi, sam, na pierwszem piętrze gmachu becyrkowego, w najbliższem swojem sąsiedztwie, pod urzędowym bokiem swoim, miał mały wulkan rewolucyjny, którego wybuchy dostarczą nam wątku do dalszego opowiadania naszego.

Pan Precliczek miał bowiem żonę i córkę...

ROZDZIAŁ II,

w którym autor maluje jaskrawemi barwami utylitarną politykę pana forsztehera, i opozycyjne stanowisko (der werthen Familie).

Pani Precliczkowa, czyli, jak ją powszechnie nazywano, pani forszteherowa, z domu Hanserlówna, córka c. k. komisarza cyrkularnego z Rzeszowa,

Bochni, czy z Jasła, od lat dwudziestu kilku była wierną i przykładną towarzyszką p. prefekta departamentu capowickiego w pozaurzędowym jego żywocie: najprzód, gdy był konceptspraktykantem w rodzinnem jej mieście, później, gdy przechodził dalsze stopnie hierarchii urzędowej przy namiestnictwie we Lwowie, a nakoniec, gdy zaufanie rządu powołało go do piastowania ważnej posady, na której go zastajemy w r. 1866. We wszystkich tych miejscach pobytu, najżądniejsza potwarzy złośliwość ludzka nie zdołała podnieść przeciw niej innych zarzutów, jak tylko te, których ofiarą padają wszystkie mniej więcej żony nasze. I tak na p. było rzeczą autentycznie stwierdzoną, że pani forszteherowa posiadała o jedną suknię jedwabną i o dwa kapelusze mniej niż gospodyni ks. proboszcza, Zająca, w Capowicach, co rzucało oczywiście jak najmniej korzystne światło na jej dobry smak, na jej elegancyę i na jej poczucie tego wszystkiego, co była winną sobie samej i stanowisku swojego małżonka. Dalej, jak utrzymywano, posiadała pani kontrolerowa Langbauerowa niezbite dowody, że futro pani naczelnikowej miało tylko kołnierz tumakowy, pod spodem zaś były proste lisy, czy nawet farbowane króliki. Okoliczność ta zmniejszała w bardzo znacznym stopniu uszanowanie całego wielkiego świata capowickiego dla pani Precliczkowej. — Co mi to za naczelnikowa—zwykła była mawiać pani kasyerowa—kiedy prosta kanceliścina potrafi się lepiej ubrać

od niej, gdy idzie w niedzielę na Mszę do kościoła! Księża gospodyni wygląda przy niej jak jaka hrabini. Gdyby nie mąż, każdy miałby ją za nic, i t. d.

Kto tylko ma najmniejsze wyobrażenie o przyzwoitości, o wymaganiach światowych, ten odrazu potrafi ocenić słuszność tych zarzutów. Wogóle powtarzano sobie po cichu w całych Capowicach, że pani forszteherowa nie umie prowadzić domu jak należy. P. pocztmistrzowa zaręczała raz ks. wikaremu, że u forszteherów przez trzy dni, dzień po dniu, był na obiad rosół, zasypany hreczanemi krupami, i sztuka mięsa z chrzanem octowym. Szczegół ten dostarczył przedmiotu do żywej i nader wyczerpującej dyskusyi przy kawie u państwa kontrolerstwa, gdzie ks. wikary bywał częstszym, niż codziennym gościem, i p. asystentowa zaręczała słowem honoru, że w życiu swojem nie słyszała nic podobnego. Poczem, wiedziona zapewne chrześcijańskiem uczuciem, które nam każe ostrzegać bliźniego, gdy błądzi przez niewiadomość, p. asystentowa, wracając do domu, wstąpiła do pani forszteherowej, i opowiadała jej słowo w słowo wszystko, co p. pocztmistrzowa mówiła ks. wikaremu, a ks. wikary pani kontrolerowej, i jak po tem wszystkiem wyraziła się następnie pani kasyerowa i p. Kuszkiewiczowa (żona wielkorządcy Capowic, Capówki i Capowej Woli), jakoteż pan kasyer, p. kontroler, p. pocztmistrz i p. aptekarz, a nadewszystko dr. Rzeźnicki, młody medyk z bardzo ostrym językiem, który niedawno przybył ze Lwowa. Nazajutrz gdy p. Precliczek zażądał, jak zwykle, chrzanu do swojej sztuki mięsa, p. forszteh-

rowa opowiedziała mu ze łzami w oczach, że musi się obejść bez tej przyprawy, „bo i tak już to a to rozpowiadają w mieście.“ P. forszteher obszedł się tego dnia bez chrzanu, ale sądny dzień nastał za to w Capowicach. Pan kasyer nie dostał urlopu, którego potrzebował do poratowania zdrowia; panu kontrolerowi odmówiono zapomogi, którą już miał prawie jakby w kieszeni; zamiast dr. Rzeźnickiego, doktór Herz otrzymał z urzędu polecenie spisywania włościan, zmarłych na tyfus i dysenterye, i zapisywanie lekarstw tym, którzy dopiero umierać mieli; ks. wikary popadł w niełaskę u księżej gospodyni (bo p. forszteher żył bardzo dobrze z ks. proboszczem), i odtąd nie dostawał na wieczerzę nigdy nic innego, jak tylko kaszę z mlekiem — w skutek czego stał się jeszcze częstszym, niż częstym, codziennym gościem u p.p. kontrolerstwa. Pana Kuszkiewicza, rządcę klucza Capowickiego, obili włościanie, których chciał grabić za to, że paśli konie w nasiennej koniczynie JW. Capowickiego, a gdy się udał do becyrku ze skargą, zapłacił najprzód karę stemplową, a następnie zawikłany jeszcze w proces o gwałt publiczny z tego powodu, jak gdyby nie był obitym, ale bijącym. Rzecz cała oparła się aż o kronikę *Gazety Narodowej*, może i byłoby przyszło nawet do interpelacyi w sejmie, ale na nieszczęście sejm odroczono. Wszystkich tych przykrych następstw nie byłby doznał pan Kuszkiewicz, gdyby p. Kuszkiewiczowa nie była brała udziału w owej nieszczęsnej rozmowie przy kawie u pani kontro-

lerowej, i gdyby pani forszteherowa nie była dawała panu forszteherowi przez trzy dni rosół, zasypany hreczanemi krupami, sztukę mięsa z chrzanem na occie. Gdyby mu była dała przynajmniej raz, dla odmiany, chrzan ze śmietaną, albo ćwikły, albo sos pomidorowy — ależ codzień chrzan z octem!!!

Wniknęliśmy za pomocą powyższych szczegółów w najważniejsze sprawy, poruszające opinię publiczną w Capowicach, i byliśmy w możności poznać odrazu, że horyzont małżeński państwa Precliczków nie był bez chmur, i że według zdania jednych, p. Precliczek był godną pożałowania ofiarą hreczanych krup i chrzanu, a według innych, p. Precliczkowa była najnieszczęśliwszą forszteherową pod c. k. galicyjsko-lodomeryjskiem słońcem, forszteherową z tumakowym kołnierzem i z farbowanemi królikami, forszteherową o trzech tylko jedwabnych sukniach i trzech kapeluszach!

Ale są rzeczy, które zwracają mniej może uwagi w tak wielkim i znakomitym świecie, jak świat capowicki, a któremi interesować się zwykli tylko dziennikarze, literaci, emigranci i inni ludzie bez stałego i bliżej określonego sposobu zarobkowania. Są kwestye narodowościowe, polityczne i literackie, o które toczy się nieraz bój zawzięty w gazetach, podczas gdy na prowincyi obojętnie, z politowaniem prawie patrzą na zapaśników.

Na prowincyi każdy mówi takim językiem, jaki umie; każdy uważa politykę za rzecz dobrą tylko

dla próżniaków, i każdy czyta to, co mu się podoba, to jest, nie czyta waściwie nic, bo jak słusznie twierdzi pan kontroler Langbauer, od jakiegoś czasu nawet w kalendarzach piszą same głupstwa.

Otóż właśnie tego rodzaju rzeczy w rodzinie państwa Precliczków były nieraz większym powodem nieukontentowania, niż rosół z krupami i chrzan z octem, większym, niż domyślać się mogła zrazu p. pocztmistrzowa i ks. wikary.

P. Precliczek, póki używał jeszcze dawniejszej swojej pisowni jako *Wencel Pretzlitscheck*, twierdził o sobie, że jest *ein biederer Deutscher*. Co do rzeczownika, zgadzał się z nim cały powiat, co do przymiotnika zaś, niektórzy byli innego zdania. Zresztą, p. Precliczek nie potrzebował bynajmniej legitymować się, do jakiej narodowości należy, bo wiadomo było powszechnie, że mówi tylko po niemiecku i trochę po czesku — tyle mianowicie, ile potrzeba zwykłemu śmiertelnikowi, ażeby nigdy nie mógł się nauczyć po polsku. Kwestya, do jakiej narodowości należał p. Precliczek, była tedy zupełnie jasną, a jeżeli zostawała jeszcze jakaś wątpliwość w tej mierze, usuwała ją p. forszteherowa, gdy w chwilach złego humoru apostrofowała swego małżonka: „Ty Szwabie!“

Anielska ta kobieta miewała bowiem dnie, godziny, minuty, w których opuszczała ją zwykła cierpliwość, i wówczas nietylko okazywała karygodne lekceważenie zwierzchności małżeńskiej i urzędowej, reprezentowanej w osobie pana becyrksforsztehera,

ale nawet dopuszczała się przekroczenia, przewidzianego w c. k. kodeksie karnym jako *Aufrejzung zum Hass* i t. d.

Jestem pewny, że niejedna dobra szlachcianka, herbu Poraj, Sas, Rawicz, Gozdawa lub innego, zapyta z zadziwieniem, jakim sposobem p. Precliczkowa, z domu Hanserle, mogła męża swojego nazywać „Szwabem", i czy może Niesiecki, albo Paprocki wspomina o jakich starych Polusach, którzyby się nazywali „Hanserle?" Hanserle, Hanserle!

Niestety — nie! Żaden Hanserle nie był z Bolesławem Chrobrym przy wzięciu Kijowa, żaden nie zginął pod Warną, żaden nie zrywał sejmów, żaden nie służył za podstarościego u Radziwiłłów, Lubomirskich lub Rzewuskich, żaden nie wykonywał przysięgi homagialnej Najdostojniejszemu domowi Lotaryńskiemu przy zajęciu Galicyi. Znany był tylko jeden Hanserle, w Rzeszowskiem, czy w Tarnowskiem, z wielkiej gorliwości, którą rozwijał w r. 1846 i za którą otrzymał później order i 200 złr. *ad personam*.

Jest to tedy fakt, co do przyczyn swych niewyjaśniony, ale zawsze fakt, że pani Precliczkowa, z domu Hanserle, nazywała męża swego „Szwabem", że umiała i rozmawiała zawsze tylko po polsku, i po polsku wychowała swoją córkę.

Pan Precliczek łamał sobie nieraz głowę nad przyczynami tego zagadkowego faktu, równie jak ty teraz czynisz, szanowny czytelniku. A jeżeliś łaskaw, i zastanawiasz się nad tą okolicznością, to chciej też przy tej sposobności rozważyć, dlaczego na odwrót nieraz damy, których przodkowie posło-

wali od Krzywoustego do cesarza Henryka, rzucali z dumą pierścienie swoje do skarbca cesarskiego, i otrzymywali za to tak historyczne odpowiedzi, jak np. *Hab' Dank!* — dlaczego, mówię, t a k i e damy nie znają różnicy między Szwabem a nie-Szwabem, i córki swoje wychowują.... jużci nie po polsku?

Ale na teraz dość nam będzie wiedzieć, że p. Precliczek nie mógł pojąć, skąd się jego żonie wzięła ta polszczyzna? Skąd się to wzięło, że jego własna krew, jego córka, *mein Milchen*, nie mogła czy nie chciała nigdy nauczyć się po niemiecku, i lekceważenie swoje dla panującej narodowości posuwała tak daleko, że język Metternicha i Kriega, język verordnungów i protokółów nazywała.... ach, włosy mi stają na głowie, jak go nazwała! Sam byłem świadkiem, gdy c. k. becyrksforszteher w Capowicach, na zapytanie swoje, czy już nakryto do stołu, otrzymał odpowiedź: — Et, niech tatko nie mówi do mnie tym baranim językiem!

Przynajmniej ja nie byłem urzędową figurą, i Milcia nie mogła przedemną skompromitować pana Pretzlitschka. Ale raz wydarzył się w Capowicach wypadek okropny, straszniejszy od klęski pod Königgrätz, od koronacyi w Peszcie, od usunięcia p. Wolfahrta z Złoczowa, jednem słowem—straszny. P. Precliczek w rok potem jeszcze bez oglądania się na wszystkie strony i bez dreszczu w kościach nie mógł opowiadać o tem nawet najściślejszemu swemu przyjacielowi. Rzecz miała się tak:

Jego Ekscelencya, rzeczywisty tajny radca i szambelan J. c. k. Ap. Mości, jenerał-feldmarszałek-po-

rucznik hr. Mensdorff Pouilly, namiestnik i t.d., przejeżdżając do Kołomyi, Zaleszczyk czy Tarnopola, raczył zatrzymać się przez całą godzinę w Capowicach, gdzie zebrali się byli różni reprezentanci różnych większych, mniejszych i żadnych posiadłości, dla złożenia winnego hołdu J. Ekscelencyi. Pan Jakób Bykowski, herbu Koźlerogi, w najpyszniejszym swoim kontuszu i litym pasie, szlachcic, mierzący 6 stóp wysokości i 28 stóp peryferyi, okazałą postawą swoją zwrócił na siebie uwagę Jego Ekscelencyi, który raczył zapytać go w sposób najgrzeczniejszy, co tam słychać w okolicy? Pan Jakub, choć nietęgi Niemiec, zdobył się przecież na tyle, że obcierając pot z czoła wysapał z siebie: — *Schlecht, kaiserliche Excellenz — Kartoffel sich nicht geboren, Heu pfutsch, alles* Mości Dobrodzieju *pfutsch, grosse Steur* Mości Dobrodzieju!

Poczem Jego Ekscelencya raczył zaśmiać się i kiwnąć łaskawie ręką zgromadzonym reprezentantom powiatu, a sam udał się na pierwsze piętro gmachu becyrkowego, dla zwiedzenia kancelaryi pana naczelnika. Jego Ekscelencya raczył iść naprzód, za nim adjutant, a za tym dopiero p. Precliczek, który widział wprawdzie, że Jego Ekscelencya, wszedłszy na kurytarz, otwiera niewłaściwe drzwi, ale w służbistej pokorze nie śmiał robić żadnych uwag tak wysokiemu przełożonemu. Zdarzyło się tedy, iż c. k. tajny radca i szambelan zajrzał najprzód do kuchni, i przekonał się naocznie, że p. Precliczkowa przygotowywała tego dnia na obiad barszcz z uszkami, pierogi z serem i inne przysmaczki. Adjutant nadmienił, że

to nie te drzwi, Jego Ekscelencya otworzył przeto drugie — ale i te nie prowadziły do kancelaryi, lecz do bawialnego pokoju, gdzie fatalnym i nigdy nieodżałowanym zbiegiem okoliczności, siedziała na kanapie panna Emilia Precliczkówna, zajęta czytaniem — *Dziennika Literackiego!* Na widok mężczyzny ze złotym kołnierzem i z czerwonemi lampasami na pantalonach, powstała i zarumieniła się, a choć miała na sobie tylko bardzo skromną perkalikową sukienkę, wyglądała dalibóg piękniej niż pan Jakób Bykowski w granatowym kontuszu z karmazynowemi wylotami i w sutym, antenackim pasie, z rycerskim węzłem na sarmackim brzuchu. Jego Ekscelencya zatrzymał się chwilkę w drzwiach, i raczył być prawie tak grzecznym, jak gdyby był jeszcze ambasadorem u dworu petersburskiego, a nie komendantem stanu oblężenia w Galicyi. Uśmiechnął się tedy i rzekł: *Das ist warscheinlich Ihre Tochter, Herr Pretzlitscheck!* Pan naczelnik ukłonił się do samej ziemi. — *Hübsch mein Fräulein, Sie beschäftigen sich wohl viel mit Lektüre?* — D o u s ł u g p a n a d o b r o d z i e j a, — odpowiedziała Milcia, z przynależnym dygiem. Jego Ekscelencya zamknął drzwi, i zwracając się nakoniec ku kancelaryi, mruknął dobrodusznie pod nosem: *Merkwürdig... Diese Polen mit ihren Pantoprotscheju!*

Pan Precliczek był blady jak ściana i wyjąkiwał jakieś tłumaczenia, których Ekscelencya nie słyszał i które były całkiem zbyteczne, bo Jego Ekscelencya, jakkolwiek słynny swojego czasu ambasador i wojownik, nie był przecież Herodem. Ale panu

Precliczkowi zdawało się, że suspensya, kajdany, Kufstein i szubienica były najmniejszą karą dla ojca, który śmiał mieć taką córkę. Córkę, która mówiła: „Do usług pana Dobrodzieja“, będąc córką c. k. naczelnika powiatu, Wenzla Precliczka, podczas gdy gruby, karmazynowy szlachcic potrafił przecież wygłosić lojalne słowa: *Schlecht, kaiserliche Excellenz — Kartoffel sich nicht geboren!* Córkę, która śmiała czytać i czytać taką *revolutionäre Brandschrift*, jak *Dziennik Literacki*, podczas gdy Jego Ekscelencya sam mawiał nieraz, że od czasu, jak był kadetem, nie czytał żadnej książki! Czytanie jest zgubą i zagładą wszelkiej lojalności. Pan Precliczek odchorował to nieszczęście przez cały tydzień. Barszcz z uszkami i pierogi z serem nie mogły mu wyjść na dobre po takiej katastrofie, zresztą cierpiał i bez tego na jakieś „kwasy w żołądku“, jak mawiał.

Poczciwa publiczność powiatu capowickiego tłumaczyła sobie tę chorobę p. forsztehera w swój sposób. Nasza publiczność, a mianowicie jej część „zacna, światła i niezależna,“ jak mawiał ś. p. *Głos*, ma dar widzenia w różowem świetle wszystkiego, nawet stanu oblężenia. A już u wysoko postawionych figur, to upatrujemy zawsze jakieś przymioty nadzwyczajne, jakąś szczególną dla nas względność. Wszak są tacy, co wierzą, że p. Giskra jest w gruncie niezłym Polakiem. Rozgłoszono tedy, że Jego Ekscelencya „przysiadł,“ to jest właściwie, raczył „przysiąść“ mocno forsztehera za różne „sekatury,“ których tenże dopuszczał się w powiecie, a mianowicie za pociąganie JW. Capowickiego, najlojalniej-

szego człowieka w świecie, do protokółów, i za niesłychane rewizye, jakie odbywały się w domu państwa Kuderkiewiczów w Głęboczyskach, choć zawsze bez najmniejszego skutku. To tedy miało tak zirytować p. forsztehera, że aż się rozchorował. Powtarzano to sobie w powiecie i wielbiono Jego Ekscelencyę niemało. Jesteśmy poczciwym narodem, zawsze prawie zadowolonym.

Powiedziałem, że rewizye w domu p.p. Kuderkiewiczów, były zawsze bez skutku. Tak samo działo się i z innemi czynnościami urzędowemi, które przedsiębrał p. forszteher. Martwiło go to niemniej mocno, jak powyżej opisane zajście jego Milci z hr. Mensdorffem — a gniewało go, że nie wiedział kogo pociągać do odpowiedzialności za ciągłe nieudawanie się najsprytniejszych jego kombinacyj, „państwowo-policyjnych?“ Z powodu zajścia z Milcią, wyprawił przynajmniej scenę p. Precliczkowej, i to go trochę pocieszyło. A pan Precliczek umiał, w razie potrzeby, utrzymać w domu karność taką, jak w becyrku między kancelistami, dyurnistami i amtsdienerami. — *Himmelkreutzdonnerwettersacramentkrucifixnochamal!* Tak zaczynały się zwykle łagodne jego napomnienia małżeńskie. Poczem następowało rzucanie różnych drobiazgów, jak n. p. doniczek z kwiatami, półmisków i t. p., a oczyściwszy zapomocą tej podręcznej artyleryi plac boju, pan forszteher uzbrajał się w cybuch lub packę na muchy, i uganiając po pokoju, powtarzał swoje *quos ego!* ścianom i piecowi — bo juści p. forszteherowa i Milcia miały na tyle strategicznego talentu, by sobie zabezpieczyć

odwrót podczas takiego pierwszego wybuchu germańskiej furyi—*rabies teutonica*, jak ją nazywają. Później p. forszteherowa umiała zawsze przechylić szalę zwycięztwa bodaj trochę na swoją stronę—wszak zostawał jej środek, z tak niezawodnym skutkiem praktykowany przez wszystkie żony, mające niespokojnych mężów! P. forszteher mógł zamknąć cały powiat do kozy, ale ona mogła — wygłodzić p. forsztehera. Mogła mu dać kawę, w której była połowa cykoryi, i do tego zwarzoną śmietankę. Mogła mu dać na obiad *mamałygę*, a jeszcze żaden Czech nie wytrzymał mamałygi. Zresztą pan forszteher miał jedną, bardzo słabą stronę, a tą były jego „kwasy w żołądku.“ Każdy wielki człowiek ma taką słabość. Władysław Waza bał się jabłek, Bayrad bał się strzelby, Piotr Wielki bał się iść przez most, p. Precliczek bał się swoich „kwasów.“ Pani forszteherowa potrzebowała tylko, złożywszy ręce, powiedzieć: — Ach, jak ty dziś źle wyglądasz, jakiś ty blady! — a p. forszteher bladł zaraz naprawdę i jęczał: *Das sind schon wieder meine verfluchten Säueren im Magen!* I przez cały dzień dał się prowadzić, jak dziecko, Milcia mogła sobie czytać *Dziennik Literacki*, mogła jechać do Głęboczysk do państwa Kuderkiewiczów, gdy po nią panny przysłały powóz, p. forszteherowa mogła przyjmować i odwiedzać, kogo się jej podobało. Tak tedy, przynajmniej w drobnych szczegółach codziennego życia, kobiety mogły się rządzić według swego upodobania, — w wielkich kwestych politycznych, urzędowych i familijnych pan Precliczek wykonywał natomiast absolutną władzę, ograniczoną

tylko przez *votum consulativum* Dudia i jego zacnej rodziny.

Umiały jednak kobiety obchodzić nieraz władzę pana forsztehera i w takich ważnych rzeczach, choć p. forszteher nigdy nie domyślał się tego, i gniewał się tem mocniej, jak już wyżej wspomniałem, tylko gniewał się w kancelaryi, a nie w domu. I tak, w pamiętnym r. 1863 i 1864, udało się nieraz niestrudzonym zabiegom p. forsztehera i innych urzędników powiatowych, nachwytać po kilka tuzinów tych niebezpiecznych indywiduów, które snuły się po kraju, jak gdyby §. 66. nie egzystował w kodeksie karnym. Gdy już koza powiatowa była aż do pęknięcia naładowaną zaburzycielami spokojności publicznej, gdy drzwi były zaryglowane i pozamykane na pięć kłódek, p. forszteher pisał raport do cyrkułu i kładł się spać, antycypując w słodkich marzeniach przyjemność „ciągnienia“ protokółu z tych strasznych zbrodniarzy. Ale rano, nim jeszcze *die Gnädige* przyniosła mu do łóżka kawę i zapewnienie, że na dziś nie potrzebuje się obawiać niczego od swoich „kwasów“ w żołądku — wchodził z niezmiernie rzadką miną pan Newełyczko, poufny dyurnista, pana forsztehera, i oznajmiał mu, że drzwi od kozy są mocno zaryglowane, kłódki nietknięte, a raport gotów do wysyłania na pocztę, tylko — insurgentów gdzieś niema. Przewracano całe Capowice do góry nogami, aresztowano wszystkich przechodniów i przejezdnych, grożono urzędnikom suspenzyą, amtsdienerom kryminałem, uskuteczniano czasem te groźby, ale insurgentów już nie odszukano. Powtarzało się

to bardzo często, a p. becyrksforszteher nie domyślił się ani razu, że ci złoczyńcy znajdowali się na jego strychu, zakwaterowani tam przez panią forszteherowę i Milcię, że pili tam jego kawę, palili jego schwarz-dreikönig, czasem nawet z własnych jego fajek, i o zgrozo! przebierali się czasem we własną jego, najsekretniejszą bieliznę!

Czasem znowu, gdy o szóstej z rana cała urzędowa ekspedycya, z żandarmami, z wojskiem i kajdanami w kieszeni wyjeżdżała do Głęboczysk, albo do Małostawic, albo jeszcze gdzieindziej, w celu zrobienia najściślejszej rewizyi w tamtejszych dworach, i kiedy o szóstej wieczór cały ten aparat państwowo-policyjny przywożono napowrót do Capowic, bez żadnego połowu: ani forszteher, ani nikt w świecie nie domyślał się, że poprzedniej nocy mały żydek capowicki, Szlojma, odbył już był tę samą drogę, z karteczką, wystosowaną do W. pani Kuderkiewiczowej, albo do p. Bzikowskiej tej treści: „Jeżeli Pani Dobrodziejka ma jeszcze na sprzedaż to masło, o którem mówiłyśmy w niedzielę, to proszę mi je przysłać jutro rano o 6-ej. Z uszanowaniem“ i t. d. Jeden tylko Szlojma uważał, że zwykle rewizye obierały sobie tę samą drogę do wyjazdu, którą on wracał — ale Szlojma z natury był małomównym, i miał inne jeszcze powody do milczenia.

Tak to i najwięksi politycy nie mogą być pewni, czy plany ich nie będą pokrzyżowane przez najbliżej nich stojące osoby. Czy Napoleon III. może wiedzieć, azali Eugenia nie miesza mu czasem jego szyków? Pan Precliczek, mimo swoich kwasów w żo-

Biblioteka Główna w Kielcach
UJK

łądku, był wielkim politykiem, a nie wiedział tego przecie; a nawet pani asystentowa nie domyślała się nigdy istotnego stanu rzeczy. Później dopiero, ku wielkiemu poruszeniu opinii publicznej w Capowicach, wyszły na jaw różne scysye, mające niejaki związek z powyżej dotkniętym antagonizmem, i z bohaterką niniejszej powieści.

O bohaterce tej mówiliśmy dotychczas trochę zamało, poświęcimy jej tedy rozdział następujący.

ROZDZIAŁ III,

który jest po części bardzo sentymentalny, a po części traktuje o różnych kwestyach finansowych, administracyjnych, gminnych i głodowo-komisyjnych.

Na całym obszarze capowickiego powiatu, obejmującym 36 gmin i tyleż obszarów dworskich, w liczbie ludności, zaliczanej pospolicie do kategoryj „szlachty“ i „inteligencyi,“ znajdowało się 47 panien na wydaniu, która to cyfra nie obejmuje jednakowoż dorosłych córek księży obrządku unickiego i oficyalistów prywatnych poniżej godności rządcy lub plenipotenta, ani też tych panien, które dłużej niż od lat 25ciu figurowały w spisach ludności jako kandydatki do świętego stanu małżeńskiego. Oprócz tego żyły na tejże przestrzeni jeszcze cztery wdowy, także będące na wydaniu. Ze strony więc płci pięknej, na wypadek jakiego pospolitego ruszenia, które-

go celem byłoby ożenienie, a *respective* zamążpójście całego rodzaju ludzkiego, kontyngent byłby wynosił $8^{1/2}$ na milę kwadratową, bo powiat capowicki miał sześć mil kwadr. obszaru. Nierównie mniej korzystnym dla celów takiego idealnego pospolitego ruszenia, był stosunek liczebny popisowych płci męskiej. Między „szlachtą“ było dwóch wdowców, trzech starych i dwóch młodych kawalerów, między „inteligencyą“ trzech kawalerów, razem 10, czyli $1\ ^{2}/_{3}$ na milę kwadratową geograficzną, Przypadało tedy na 1 kandydata, $5\ ^{1}/_{10}$ kandydatek, a na jedną kandydatkę $^{10}/_{51}$ kandydata, czyli mniej więcej jedna piąta część pana młodego, co wydać się musi jeszcze bardziej niedostatecznem, jeżeli rozważymy, że jeden z kawalerów, p. magister farmacyi Pigulski, aptekarz w Capowicach, miał tylko cztery stopy i dwa cale długości.

Cyfry te, zupełnie autentyczne i oparte na urzędowych wykazach, nie mają wprawdzie bezpośredniego związku z dziejami osób, wchodzących w niniejsze opowiadanie, ale spodziewam się, że będą one świadczyć wymownie o gruntownych i sumiennych studyach, które przedsięwziął autor, nim przystąpił do napisania tej ze wszechmiar wiarygodnej powieści. Pośrednio zaś, mogą one być uważane jako matematyczny dowód wysokich zalet, czarujących wdzięków i innych niezrównanych przymiotów serca, ciała i duszy bahterki, której imię wraz z niniejszem arcydziełem kunsztu powieściopisarskiego przejdzie do najpóźniejszej potomności. Bo jakimże aniołem piękności i dobroci musiała być panna Emilia; po-

myśl to sobie, szanowny czytelniku — skoro z pomiędzy 47miu starszych i młodszych, jasno i czarnowłosych, szczupłych i pulchnych, słusznych i drobnych, posażnych i nieposażnych innych aniołów wybrał ją sobie na bohaterkę powieści tak znakomity autor, jakim ja będę niezawodnie, bylem tylko znalazł redakcyę tak uprzejmą, którąby mi pozwoliła umieścić w szpaltach swoich napisaną przezemnie krytykę moich własnych dzieł i zwrócić uwagę czytającej publiczności na to, że dzieła te należą do najcelniejszych płodów literatury ojczystej, i że powinny być czemprędzej przełożone na język np. serbski? Dziś bowiem autorowie nie powodują się już tą fałszywą skromnością, która im dawniej zabraniała chwalić własne utwory. Niedawno pewien poeta liryczny ogłosił światu pojawienie się tomika swoich wierszy temi słowy, że „oto mamy znowu świeży zbiór piosnek naszego młodego skowronka N. N.“. Jest to już wielki postęp — chociaż nie wiem, dlaczego przez resztkę niepotrzebnej skromności, młody wieszcz nie porównał się do większego jakiego ptaszka, ot tak: do dudka, albo gawrona?

Ale porzućmy te literackie gawędy, któremi czytelnicy gazet mają dość sposobności przesycić się, zważywszy, że panowie dziennikarze i literaci najchętniej i najwięcej piszą teraz o sobie samych. Wracajmy do naszej bohaterki i do jej anielskich przymiotów. Starajmy się przedstawić ją tak, by każdy z samego opowiadania musiał się

w niej zakochać, jeżeli ma w swojem sercu miejsce na uczucie tak nieutylitarne, jak miłość. Tak jest, moje panie, utylitaryzm to wyrugował z serca mężczyzn wszelką zdolność kochania was wszystkich w razie, gdy nie macie posagu; utylitaryzm zagłuszył wszystkie szlachetne uczucia, wierzajcie mi, i przyłączcie się do opozycyi. Nie pozwalajcie mężom, synom, braciom i kochankom waszym brać udziału w fakelcugach dla hr. Gołuchowskiego, ani też podpisywać adresów do tego reprezentanta utylitaryzmu i innych pomniejszych bezbożności. Temi dniami zwołany będzie w Mościskach mityng starych panien, który uchwali rezolucyę, potępiającą w najostrzejszych wyrazach byłego namiestnika i całą delegacyę polską, za kierowanie się utylitarnemi względami; podpiszcie się wszystkie na tej rezolucyi, i dajcie ją wydrukować w jakim organie opozycyjnym, jako głośny protest przeciw pogwałceniu najświętszych uczuć, praw i t. d.

Panna Emilia miała duże oczy, pełne wyrazu, które musiałyby oczarować nawet najutylitarniejszego z utylitarnych naszych delegatów, i spowodować go do głosowania za wnioskiem Smolki. Było w nich tyle serca i tyle rozumu, że możnaby było obdzielić całą Radę Miejską pewnego stołecznego miasta temi przymiotami, a jeszczeby się zostało coś i dla niej samej. Było w nich więcej ognia, niż w najsiarczystszej mowie pana Tadeusza Romanowicza, który jest bardzo przystojnym młodzieńcem, redagującym *Dziennik Lwowski*, i którego, kochane czytelniczki, polecam jak najusilniej waszym wzglę-

dom już z tego jednego powodu, iż nienawidzi wszelkiego utylitaryzmu. Było w nich — ach, było w tych oczach wiele jeszcze innych rzeczy, przedziwnie uroczych i zachwycających, koloru zaś były piwnego. Dodajmy do tych oczu ciemne brwi i rzęsy, ciemne włosy, regularne rysy twarzy, płeć niezbyt śniadą, wzrost sięgający sześć cali nad poziom czupryny wspomnianego powyżej magistra farmacyi, p. Pigulskiego, i tuszę, której większe wypełnienie byłoby już nadmiarem tego rodzaju wdzięków — a oto mamy dokładniejszy rysopis córki p. naczelnika powiatowego w Capowicach, niż go zawierała jej karta legitymacyjna, opatrzona jednoreńskowym stemplem i podpisem kochanego papy. Każdy pojmie bowiem, że naczelny stróż porządku i bezpieczeństwa publicznego w powiecie capowickim, nie mógłby był pozwolić, aby córka jego nie była zaopatrzoną w dokument, tak niezbędny każdemu spokojnemu obywatelowi i każdej spokojnej obywatelce. P. Precliczek, gdyby był sam siebie przydybał gdzie bez karty legitymacyjnej, byłby się kazał bez litości odstawić na miejsce urodzenia, w celu zbadania identyczności swojej osoby.

Z zewnętrznej strony poznaliśmy tedy pannę Emilię jako bardzo piękną i dość słuszną szatynkę, w której powinienby się kochać cały rodzaj męski, gdyby się już nie kochał w różnych artystkach dramatycznych i różnych akcyach, to spadających, to znowu idących w górę. Co do wewnętrznych przymiotów, piękna ta główka, ujęta w ciemne warkocze, zawierała oprócz należytego zapasu niezapomnia-

nej jeszcze szwajcarsko - lwowskiej francuzczyzny i innych elementów przyzwoitego wychowania kobiecego, wszystko to, co się przez kilka lat zaczerpać dało z wypożyczalni książek i z tego archiwu wschodnio - galicyjskiej piśmienności, które nazywamy *Dziennikiem Literackim*. Było tam tedy trochę Suego, Dumasa, Bulwera i Sanda, daleko więcej Korzeniowskiego i Kraszewskiego, bardzo wiele Mickiewicza, a coś trochę Słowackiego, nieco rzeczywistej wiedzy i niezmiernie wiele pięknych rojeń, snów, zachwytów — jednem słowem, cały arsenał polskiej poezyi, i cała skarbnica dobrych i szlachetnych pojęć. Jest to może najszczęśliwsze umeblowanie wnętrza tak pięknej główki, o jakiem marzyć można w naszych czasach. Trochę więcej poezyi, a będzie chorobliwa egzaltacya; trochę więcej nauki, a będzie nieznośna, zarozumiała półuczoność; trochę mniej jednego i drugiego, a będzie egoizm, modna próżność. Rad jestem bardzo, że pod tym względem mogę bohaterkę moją postawić jako wzór godny naśladowania, i powinszuję z serca pensyonatowi, który dla elewek swoich potrafi wypośrodkować wychowanie takie, jakie sobie dała panna Emilia sama — bo poduczywszy się w jednym z tych zakładów znanej ilości nieuniknionej francuzczyzny i „fortepianu“, kształciła się dalej sama, czytając poprostu to, co się jej podobało i wrodzonym instynktem oddzielając co dobre, od złego, co prawdziwe, od chorobliwego, wybujałego.

Od głowy powinienbym przejść do serca, jako do siedziby najważniejszych przymiotów, któremi błysz-

czeć powinna każda bohaterka w powieści, dramacie i w życiu. Powinna kochać Boga, rodziców, ojczyznę, wszystkich bliźnich, wszystkię kwiatki i zwierzęta domowe, wschód i zachód słońca, zieloność majową, śpiew słowika i jeszcze wiele innych rzeczy, a za wybranym swego serca powinna tęsknić aż do schudnięcia, być gotową do wszystkich ofiar dla niego i — jeżeli rzecz dzieje się w książce, powinna dla przykładu i zachęcenia swoich rówieśniczek, ponieść rzeczywiście niektóre wielkie ofiary, wylać całe morze łez i pozostać wierną wśród największych przeciwieństw. W życiu dzieje się to czasem trochę inaczej. Lecz taka to już przywara nasza ludzka, że ani nie zachowujemy dyety, ani nie gospodarujemy, ani też kochamy się podług tego, jak przepisują w książkach, ale każdy po swojemu. Ten czyta Hufelanda i je pod wieczór wieprzową pieczeń z kwaśną kapustą, tamten studyuje Liebiga, i nawozi co roku 20 morgów pola 30-ma furami zbutwiałej słomy, a jeszcze inny rozczula się nad „Intrygą i miłością," a porzuca wierną Ludwikę dla posażnej Eulalii. Zaiste, nie wartoby pisać książek dla tak niepoprawnego pokolenia, gdyby wśród tego pokolenia nie było i was, szanowni czytelnicy i jeszcze szanowniejsi nabywcy tej powieści. Dla was tedy, i dla nikogo więcej, opowiem, jak panna Emilia kochała i kogo, jak płakała i jak długo, do jakich nakoniec ofiar była gotową — ale opowiem to wszystko swojego czasu i na swojem miejscu, w następujących rozdziałach. Na teraz, nie mogę wam o jej sercu powiedzieć nic więcej, jak tylko to, że było to naj-

lepsze serce w Capowicach i w całym capowickim powiecie, gdzie biło 20,000 serc po kilkadziesiąt razy na minutę.

Ale nietylko głowę i serce ma każdy człowiek, ma on jeszcze i kieszeń. Rozum daje bardzo małe dywidendy, a miłość w nizkiej chałupeczce ma być wprawdzie nader słodką rzeczą, lecz musi wydarzać się albo tylko w lecie, albo w zimie, gdy zapalono w piecu — inaczej boski ten płomień bynajmniej nie wyklucza chłodu. Nie jest to moje zdanie, broń Boże, ja uczyłem się miłości z książek i wiem, że powinna wytrzymać wszystkie próby i wszystkie dolegliwości moralne i fizyczne, ale utylitarna większość galicyjska ma inne, praktyczniejsze przekonanie. Dopóki więc, wiernie stojąc przy sztandarze opozycyjnym, nie nawrócimy tej większości na lepszą drogę, musimy się rachować z jej słabościami. Chciałbym, ażeby większość zakochała się w mojej bohaterce, bo to wzmoże interes, jaki może obudzić moja powieść. Zrobię tedy koncesyę sprośnemu utylitaryzmowi i powiem, że panna Emilia, jak na forszteherównę, była nietylko piękną, rozumną i dobrą, ale i posażną panienką.

Pan Wencel Precliczek, oprócz granatowego fraka i starego cylindra, nie wyniósł ze ściślejszej swojej ojczyzny żadnego innego majątku. Nie wygrał nigdy na loteryi, nie wziął żadnej sukcesyi, i wydawał rocznie prawie tyle, ile pobierał z kasy tytułem pensyi. Mimo to, przyznawał się czasem, że udało mu się zaoszczędzić małą sumkę, a według dokładnych informacyj, których można było zasię-

gnąć u żydków w Capowicach, mała ta sumka wynosiła około 60,000 złr. Spodziewam się, że jedynaczka jego wyda się teraz każdemu daleko piękniejszą, rozumniejszą i lepszą. Nawet brylant wydaje się lepiej w pięknej, złotej oprawie.

Zapewne ciekawość publiczna, mile dotknięta tą wiadomością, zechce postawić pytanie: jakim też szczególnym okolicznościom pan Precliczek zawdzięczał tak kwitnący stan swoich interesów materyalnych? Mój Boże! Co ludziom do tego? *Man muss leben und leben lassen!* To było zasadą pana forsztehera, a zasada ta niosła daleko więcej procentu, niż wszystkie zasady demokratyczne, wraz z prenumeratą na dzienniki, tych ostatnich zasad broniące. Pan forszteher pozwalał żyć wszystkim ludziom, z wyjątkiem tych, którzy byli politycznie podejrzani — a ci zwykle nie mają pieniędzy. Nawzajem, ludzie niepodejrzani dawali żyć p. forszteherowi, który był oraz najwyższą sądową władzą w powiecie capowickim, i rządził i sądził podejrzanych i niepodejrzanych. Najpierw tedy pamiętajmy, że sknerstwo hr. Belcredego dopiero 1866 roku wyznaczyło pewne pauszale roczne na drobne wydatki urzędów powiatowych, ale przez dziesięć lat poprzednich wydatki te ponosił skarb państwa z większem uwzględnieniem potrzeb wszechobecnej administracyi, niż krzyków ze strony malkontentów, żalących się na wysokie podatki. Oprócz kosztów oświetlenia, ogrzania, bielenia i mycia gmachu urzędowego, oprócz atramentu, laku, szpagatu i papieru, i t. d., i t. d., były jeszcze komisye sądowe i polityczne, które mu-

siały zwiedzać bardzo często wszystkie gminy powiatu capowickiego. Nic słuszniejszego, jak to, że wynagradzano urzędników sowitemi dyetami za trudy, ponoszone przy takich sposobnościach. Teraz nie jeżdżą już komisye tak często, ale w owych czasach, pan forszteher sam robił po kilka tysięcy mil na rok, wzdłuż, wszerz i naokoło swego powiatu. Potem, były sprawy różnego rodzaju — wiadomo, że włościanie nasi lgną do władzy, i turbują ją ciągle różnemi interesami, to reklamacyami w celu uwolnienia synów od wojska, to skargami na wójtów, na dwory i t. p. Przytem nie znają praw i przepisów, potrzeba im wszystko objaśnić. Objaśnień takich udzielał pan forszteher albo sam osobiście, albo przez Dudia, a ludek, przejęty wdzięcznością, wyrażał tę wdzięczność jak mógł i umiał. Dalej, znajdowało się w powiecie paru zruinowanych obywateli ziemskich, którzy często potrzebowali pieniędzy. Pożyczyć łatwo, ale odebrać trudno, — Dudio udawał się tedy nieraz do pana forsztehera z prośbami, by mógł wyegzekwować tę i ową sumkę. Pan forszteher pomógł mu, ale obawiając się, by Dudic przez dobre swoje serce nie naraził się kiedy na wielkie straty, zaproponował mu, aby nie ryzykował zawsze swojej krwi, swojego ciężko zapracowanego grosza u tych utracyuszów polskich, ale aby użył w tym celu parę tysiączków, które uciułał był pan forszteher. Dudio uczynił to i przyznał się potem panu forszteherowi, że jest wiele jeszcze dobrych stron u tych Polaków, bo za 2,000 gotówką, dali mu, z czystej i nieprzymuszonej wdzięczności, we-

ksle opiewające na 5,000. Dudio ze swej strony był zacnym i rzetelnym człowiekiem, i przypuścił pana forsztehera do odpowiedniej części zysku. Weksle po upływie terminu wyegzekwowane były z większym pośpiechem i z większą energią, niżby się kto był spodziewał tego po okrzyczanej procedurze austryackiej — ale prawda, że p. forszteher miał słabość dla Dudia i sam bardzo gorliwie zajmował się jego interesami. Nieraz nim wysokie eraryum za pośrednictwem p. forsztehera zdołało zasekwestrować jaką stertę zboża za zaległe podatki, już sterta była zasekwestrowaną, wymłóconą i zlicytowaną na rzecz Dudia, w drodze egzekucyi wekslowej. Tym sposobem mnożyły się tysiączki p. forsztehera w tej samej proporcyi, w jakiej wzrastało przerażające minus w majątkach owych szlachciców.

Następnie Dudio odkrył okoliczność, która nastręczyła panu Precliczkowi nieocenioną sposobność objawienia życzliwości dla tego biednego ludu wiejskiego, na którego barki większość sejmowa, jak mówią niektóre dzienniki, zwala wszystkie ciężary. Oto podczas wojny krymskiej, gdy rozpisano „dobrowolną pożyczkę narodową“, pospędzano wszystkich wójtów i deputatów gminnych do Capowic, i kazano im tam subskrybować w imieniu gmin na tę patryotyczną pożyczkę. Tym sposobem, każdy z członków gminy stał się o pewną ilość guldenów uboższym, ale każda gmina posiadała natomiast pewną ilość obligacyj pożyczkowych. Dudio przedstawił panu forszteherowi, że ten głupi lud nie wie, co ma robić z owemi obligacyami, że często nawet

nie obcina kuponów i t. d. Pan forszteher, jako opiekun majątków gminnych, udzielił upoważnienia do sprzedaży tych obligacyj, a z drugiej strony zaopatrzył Dudia w ilość banknotów, potrzebną do ich nabycia. Lud był tak uradowany, że obligacye 1000-reńskowe sprzedawał po 100 złr., byle mógł korzystać czemprędzej z łaski pana naczelnika i pozbyć się papierów, których użytku nie znał. Tylko wójt w Głęboczyskach, podbechtany przez dzierżawcę, pana Kuderkiewicza, zapoznał korzyść tej operacyi finansowej, ale usunięto go natychmiast i mianowano wójtem innego włościanina, który właśnie przed kilkoma miesiącami powrócił był ze Lwowa, gdzie przez 6 lat mieszkając u Brygidek, rozwinął był swoje pojęcia o ekonomii politycznej. Tak więc, operacyę ukończono szczęśliwie, i nikt nie weźmie za złe p. forszteherowi, iż dawszy tyle dowodów swej ludzkości, przyjął potem od Dudia owe obligacye, zamiast pożyczonej mu przedtem kwoty, oczywiście z potrąceniem pewnego zysku, bo już to żyd musi koniecznie zyskać na wszystkiem, nawet na filantropii.

Niemniej filantropiczne było postępowanie pana forsztehera, gdy zaczęły go dochodzić skargi, iż wójci i deputowani poprzepijali gotowe pieniądze, pochodzące ze sprzedaży obligacyj. Żadnego nie pociągano do odpowiedzialności, i dzięki tej łagodności, cała sprawa jest już dziś zapomnianą i nikomu nie przychodzi na myśl, że gminy w powiecie capo-

wickim posiadały kiedyś obligacye „dobrowolnej“ pożyczki z roku 1854.

Najmocniej atoli objawiła się ta sama ludzkość i dobroduszność pana Precliczka w tym roku, w którym go zastaje nasza powieść w Capowicach. Był to ów ciężki przednowek r. 1866 — komitety głodowe rozwijały wszędzie wielką czynność; JW. Capowicki niezmordowanie zajęty niesieniem pomocy, rozdzielaniem jęczmienia, żyta i t. d. między potrzebujących, zaraz drugiego dnia zachorował z natężenia i wyjechał do Karlsbadu; ksiądz Zając z miłości chrześcijańskiej dozwolił, by w piekarni na folwarku, należącym do probostwa, gotowano zupę rumfordzką za pieniądze, przeznaczone na bezpowrotną zapomogę; a p. forszteher wraz z innymi zacnymi obywatelami i plebanami grecko-katolickiego obrządku, sam z własnej kieszeni wspierał potrzebnych, kupując od nich tę nieurodzajną ziemię, która dawała im umrzeć z głodu. Dla obydwu stron interes taki był nader korzystnym, bo na p. za 5 złr. można na wsi żyć dwa tygodnie z całą rodziną, jeżeli się kto kontentuje krupnikiem jęczmiennym rano, w południe i wieczór, a mórg pola sprzedany za tę cenę, ani przez jeden dzień nie mógł nakarmić nikogo, skoro nic się na nim nie urodziło. Niemniej atoli jest prawdą, że po tej cenie można było za parę tysięcy złotych reńskich kupić obszar ziemi, równający się wielkiej posiadłości tabularnej.

Tak tedy, dzięki nieposzlakowanej swej rzetelności, gorliwości w pełnieniu obowiązków i ludzkiemu usposobieniu, pan Precliczek posiadał w swojej

szufladzie dość znaczne kapitały, a na imię swej żony był oprócz tego właścicielem bardzo pięknej nieruchomości, obejmującej kilkaset morgów roli. Panna Emilia była najlepszą partyą w całym powiecie, po obydwóch pannach Capowickich. Jeżeli „tkniętych takowymi wdzięki“ nie będę mógł wprowadzić w szranki o jej rękę licznych książąt i mężnych rycerzy, to winne temu tylko złe czasy, które każą książętom starać się raczej o koncesye na koleje żelazne, a mężnych rycerzy robią dziennikarzami opozycyjnymi, mężnie szermierzącymi piórem i słowem, ale nie w służbie piękności.

ROZDZIAŁ IV,

w którym autor poczyna rozpatrywać się za bohaterem dla swojej bohaterki.

Gdy panna dojdzie do lat dwudziestu, albo i pierwej, jest rzeczą w zwykłych okolicznościach i stosunkach ludzkich nieuniknioną, że tak ona sama, jakoteż i rodzice jej poczynają na seryo rozważać ewentualność jej wyjścia zamąż. W najwyższych i najniższych sferach społeczeństwa ważna kwestya zawarcia ślubów małżeńskich przedstawia bardzo mało trudności, i nikt tak mało nie kłopocze się ożenieniem syna lub wydaniem córki zamąż, jak królowie, wielcy bardzo panowie i chłopi. Czy pan młody „przystaje do gruntu“, czy mając

już grunt, szuka sobie tylko gospodyni do swoich krów i wieprzaków, lub, *respective*, damy, któraby robiła honory jego domu i była matką i babką jego potomstwa, zachód jest w każdym razie niewielki, bo na obydwu tych kończynach cywilizowanego społeczeństwa ludzie żenią się tylko „między sobą“ i przy układaniu małżeństw uważają tylko na wzajemną dogodność, a raczej, uważają za nich na to rodzice i starsi. W bardzo tylko wyjątkowych razach, upatrzona przez rodziców i starszych wzajemna dogodność nie trafia do przekonania państwu młodym, i układ familijny napotyka z ich strony na opozycyę.

W ogólności, małżeństwa z przeszkodami wydarzają się tylko u klas śrdnich, i dlatego to klasy te dostarczyły przedmiotu do tylu romansów, komedyj i dramatów. Tu — jeszcze opiewane przez poetów uczucia, wyśmiane przez satyryków wady i zdrożności, odgrywają na seryo znaczną rolę przy kojarzeniu się każdego stadła, i możnaby napisać interesującą powieść o tem, jak, dlaczego, i kiedy każdy z nas się ożenił, a jak zamierzał sam, lub jak zamierzano go ożenić. Boję się tylko, że gdyby każdy z nas podał w ten sposób swoją autohymenografię do wiadomości publicznej, jaki zimny filozof i statystyk niemiecki obliczyłby w końcu, że trzy czwarte części rodzaju ludzkiego żenią się, ponieważ nieubłagana jakaś fatalność popycha je do tego — bez żadnego innego racyonalnego lub sentymentalnego powodu. Z tego wykonkludowałby bardzo sprytnie tenże sam filozof, że człowiek jest całkiem prostem

bydlęciem, a to, co się nazywa rozumem i uczuciem, jest tylko sporodycznie pojawiającą się, a normalną fermentacyą czy wibracyą mózgu. Bądźcobądź atoli, sam fakt ożenienia się może być skutkiem nieubłaganej fatalności, zakorzenionego zwyczaju i t. d., lecz wybór drugiej osoby, według prawa natury potrzebnej do zawarcia małżeństwa, jest zawsze aktem, przy którym człowiek może dowieść samemu Darwinowi, że i o ile jest czemś więcej, niż nowomodnem wydoskonaleniem pawiana, szympansa lub orangutanga.

Z żalem przychodzi mi napisać na tem miejscu, że pani Precliczkowa i p. Preczliczek, gdy brali pod rozwagę ewentualność wydania zamąż swojej Milci, zdawali się skłaniać do teoryi, stawiającej człowieka w tak blizkiem pokrewieństwie z małpą. Mieli oni oboje osobne swoje ideały, które ich zdaniem, powinnyby były uczynić Milcię zupełnie szczęśliwą, a Milcia, nie bez pewnej słuszności, obydwa wybrane indywidua zaliczyła do wyszczególnionych powyżej rodzajów czwororęcznego naszego sąsiada w królestwie zwierząt.

Pan Tomasz Skrzeczkowski, czyli według drukowanych w Dreznie kart wizytowych, Sir James Skrzeczkowski, of Katarynce, był w ukrytych marzeniach pani Precliczkowej najpożądańszym „losem“, jaki mogła wygrać Milcia na matrymonialnej loteryi powiatu capowickiego. Kataryńce były jego własnością dziedziczną, The Devil's Mare była jego ulubionym wierzchowcem, Wieczyński był jego dostarczycielem tużurków, Janowski jego fryzyerem,

gdy zjechał do Lwowa, trzewiki zaś sprowadzał z Wiednia, bo u nas nie umieją robić obuwia. Sir James (proszę czytać: „ser dżems“, ażebyś się kochany czytelniku nie zdradził, jeżeli nie umiesz po angielsku). — Sir James tedy był pierwszym wzorem elegancyi w całej okolicy capowickiej, był już raz w Dreznie, a dwa razy w Wiedniu, mawiał „Adam“, „Stefan“, „Wacio“ i „Żmirko“ o ludziach, znanych w całym kraju, po bardzo rozgłośnych nazwiskach, poprzedzonych skróceniami: *ks.* albo *hr.* — i należał, jak powszechnie wiadomo, do kasyna „narodowego“, gdzie „Adam“ i „Stefan“ zaledwie dostrzegali jego obecności, a „Wacio“ i „Żmirko“ brali go na fundusz, ile razy się pokazał. Sir James uważał to atoli za całkiem naturalny i konieczny wynik wyższego dobrego tonu, korzystał jak mógł z tak świetnych wzorów, nosił takie bakenbardy, szkiełka, tużurki i kamasze, jak oni, ubierał swoją służbę, jak oni swoją, i żartował z młodego sąsiada swego na wsi, pana Ksawerego Papinkowskiego, jak tamci żartowali z niego samego. Pan Ksawery Papinkowski brał bowiem swoje bakenbardy, szkiełka, kamasze, maniery, liberye i karkołomne wózki z drugiej ręki, to jest naśladował we wszystkiem Ser Dżemsa, co tenże znajdował nadzwyczaj śmiesznem i opowiadał z wielką werwą „Wilusiowi“ i „Żmirkowi“, gdy ich spotkał we Lwowie. Rzecz naturalna, że „Wiluś“ i „Żmirko“ bawili się przy takich sposobnościach podwójnie, raz kosztem pana Papinkowskiego, którego nie znali, a drugi raz kosztem Ser Dżemsa, w którym widzieli własną swoją kary-

katurę. Może z wrodzonej niektórym kobietom bystrości spostrzegania, a może wskutek rozczytania się w powieściach, „fotografiach“ i „portretach Nie-Van-Dyka“, Milcia jakoś odrazu znalazła słuszną miarę do ocenienia wszystkich tych zalet Sir Tomasza Skrzeczkowskiego i podczas gdy pani Precliczkowa widziała w nim ukończonego kawalera, należącego do wielkiego świata, Milcia uważała go za małpę bardzo podrzędnego rodzaju, i w towarzystwie przyjaciółek umiała prezentować tak doskonale wszystkie jego śmieszności, że ani „Wiluś“ ani „Żmirko“ nie byliby tego lepiej potrafili. Wogóle świat panieński w powiecie capowickim celował w wynajdywaniu różnych niedoskonałości w osobie Ser Dżemsa, ale mówiąc między nami, pochodziło to stąd, że mama Ser Dżemsa postanowiła sobie koniecznie ożenić synka w Dreznie, wskutek czego Ser Dżems zwracał tylko bardzo pobieżną uwagę na wszystkie te wdzięki, które co niedzielę wysiadały z różnych koczów, dorożek i kolasek przed zakrystyą kościoła capowickiego. Nawet nowiuteńkie kapelusze czterech panien Podpogodyńskich, świeżo zapisane ze Lwowa, nie rozczulały tego zimnego Anglika capowickiego; nawet białe niciane rękawiczki, które stary pan Papinkowski, na usilne naleganie swoich córek musiał sprawić dla woźnicy i lokaja, nie były dość drezdeńskiemi dla Ser Dżemsa, nie przeszyły płomienistym grotem tej gąbki, ukrytej pod lewą klapą jego żakietu w miejscu, gdzie inni ludzie miewają serce. Córki, mamy, a za niemi papowie, nienawidzili lorda z Kataryniec serdecznie,

a on odpłacał się im arystokratyczną, lekceważącą półgrzecznością, jakiej sam nieraz padał ofiarą, gdy „Adam“ albo „Stefan“ chcieli mu dać poznać różnicę, zachodzącą między człowiekiem o mitrze lub dziewięciu perełkach, a jakimś tam Skrzeczkowskim. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że powszechna ta nienawiść byłaby się podwoiła wszędzie, ale byłaby się zamieniła w uwielbienie w tym dworze, do któregoby Ser Dżems zajechał swoją skaro-gniadą czwórką w tych samych zamiarach, w jakich mama wyprawiała go na przyszły rok do Drezna, to jest skoro papie uda się załatwić przeniesienie pewnej wierzytelności tabularnej katarynieckiej z lwowskiego Towarzystwa Kredytowego do Bodenkreditanstaltu w Wiedniu, gdzie dają daleko droższe i daleko większe pożyczki.

Kto mi jednak powie, że Milcia byłaby się może także nawróciła do cichego uwielbienia, z jakiem pani Precliczkowa spoglądała na niezwyciężony gukier i na pognębiające kamasze Ser-Dżemsa Skrzeczkowskiego of Katarynce, gdyby ten gukier i te kamasze znalazły się były u pięknych, drobnych nóżek forsztehrównej capowickiej — (Milcia na przekór swemu germańsko-czecho-slovanskemu pochodzeniu, miała naprawdę drobne nóżki), kto mi to powie, powtarzam, ten jest obrzydliwym sceptykiem, cynikiem, człowiekiem bez najmniejszego szlachetnego uczucia, którego porąbię, albo zastrzelę, przy najbliższej sposobności. Milcia miała wyobrażenie tak wzniosłe, i taką pogardę dla czczej próżności

i głupoty modnej, jak przystało na bohaterkę przyzwoitej powieści, i ktoby o tem wątpił, ten obraża autora. Zresztą gukier i kamasze Ser Dżemsa nie wystawiły nigdy tego, między tysiącami wybranego serduszka, na taką ogniową próbę, i raz tylko, na jakimś balu u JW. Capowickich, w Capowicach, jedna, i to prawa klapa fraka (od Wieczyńskiego ze Lwowa), chwilowo przy walcu zetknęła się z lewą stroną stanika, skromnie zakrywającego kształtny gors et caet. panny Emilii. I chociaż panna Ambrozyna Podpogodyńska odkryła przy tej sposobności niezwykły rumieniec na licu, i niezwykły blask w oku panny Emilii Precliczkównej, to mogę zaręczyć, że były to jedynie skutki animacyi, pochodzącej z tańczenia, a spostrzeżenia panny Ambrozyi pochodziły jedynie ze złośliwej, kobiecej zazdrości. Jak mało sympatyi Sir James budził u Milci, o tem świadczy najlepiej rozmowa, która się wywiązała między niemi zaraz po owym walcu, z powodu biletu wizytowego Sir Jamesa, dostrzeżonego przez Milcię na serwantce państwa Capowickich.

— Czy pan jesteś baronetem angielskim?

— A... a... to dlaczego mię pani pyta?

— Bo widzę tu „Sir“ na pańskim bilecie, a jak czytałam, tytuł ten dają Anglicy tylko swoim baronetom i innej wyższej szlachcie, ale nigdy cudzoziemcom.

— O, proszę pani, Anglicy do każdego człowieka *comme il faut* mówią: syr, więc każdemu człowiekowi *comme il faut* należy się ten tytuł. Zresztą teraz taka moda w Dreznie.

— Więc ponieważ Polacy mówią do każdego „Mości Dobrodzieju“, to w razie, gdyby w Dreznie nastała przypadkiem moda polska, na bilatach pańskich stałoby „Mości Dobrodzieju Tomasz Skrzeczkowski“?

Pan Jakub Bykowski, który stał tuż obok, ryknął na to homerycznym śmiechem, do którego przyłączył się także stary pan Papinkowski i pan Kuderkiewicz, Ser Dżems zaś wykręcił się na jednym obcasie i dał nurka między innych gości; po chwili zaś, gdy młody Papinkowski próbował swoich sił w capowickiej francuzczyznie, by go sekować panną Emilią, Ser Dżems oświadczył kategorycznie, że forszteherówna jest... no, że jest „głupią kozą.“ Jest-to epitet mało używany w powieściach, a najmniej już o ich bohaterkach, ale Ser Dżems użył go niestety, a pan Ksawery Papinkowski wbił go sobie w pamięć i powtarzał potem przy każdej sposobności, ku wielkiemu zbudowaniu panien Podpogodyńskich, które w sekrecie o tem się dowiedziały, i w sekrecie były tego samego zdania, co Ser Dżems i jego kamaszowy samowtór.

Wszystko to dowodzi, że ideał Pani Precliczkowej nie był ideałem Milci, i że nawzajem Milcia nie była ideałem tego anglezowanego ideału. Nie było też nigdy ani mowy między matką a córką o panu Skrzeczkowskim, i jeżeli wspomniałem o jego zaletach i wadach, o jego stronniczkach i przeciwniczkach, to tylko na to, aby pokazać, że pani Precliczkowa kochała swoją córkę nadewszystko, i pra-

gnęła dla niej szczęścia ziemskiego w najświetniejszej formie, w jakiej objawiało się jej oczom.

Pan Precliczek kochał Milcię także, wszak z wyjątkiem podobno kukułki, wszystkie czworo- i dwunożne stworzenia Boskie kochają swoje potomstwo! Dlaczegóż to, co historya naturalna powiada o borsukach, o kangurach, o bocianach i o mandrylach: bez różnicy pierza lub szerści, nie miałoby się stosować także do c. k. forsztehera, chociażby się nazywał Wenzel Precliczek, i chociażby mu córka sprawiła tyle zgryzoty, co Milcia podczas wizyty ówczesnego hrabi Mensdorf-Pouilly, a dzisiejszego księcia Dietrichstein-Nikolsburg? Nawet autor *Pseudonimu* kochać musi swoje dziecię, to jest ową komedyę, która mu zaraz nazajutrz po przedstawieniu sprawiła tyle wyrzutów sumienia, tyle jawnej skruchy i jeszcze jawniejszego „blamażu“. Więc i pan Precliczek kochał swoją córkę, bez względu na jej polityczne wyznanie wiary. Zresztą wiadomo, że u Niemców, o ile ich pierwotna rasowa samorodność nietknięta jest jeszcze pokostem francuskich wyobrażeń obyczajowych, kobieta może być bardzo miłym sprzętem domowym, ale jej zdania, jej gusta, jej całe ludzkie „ja“ nie liczą się za nic. Mąż, *der Herr*, jest wszystkiem w domu, co wynika nawet z zewnętrznych objawów czci, jaką mu oddają. W czysto germańskiem gospodarstwie *der Herr* zasiada zawsze na pierwszem miejscu przy stole, zjada najsmaczniejsze kąski i jest najwyższą ustawodawczą władzą we wszystkich szczegółach i szczegółikach domowego, kobiecego nawet gospodarstwa.

Jeżeli kto kogo całuje w rękę w takiem gospodarstwie, to pewnie nie *der Herr* żonę, ale żona jego. Pan Precliczek był właściwie Czechem, ale Czech tego rodzaju jest zwykle jeszcze czystszym Niemcem, niż każdy potomek Hermana w prostej linii. Dlatego też pan Precliczek, z wyjątkiem tak nadzwyczajnych okoliczności, jak wizyta Jego Ekscelencyi, mało zwracał uwagi na to, co myślały i co robiły jego kobiety, a jeżeli *Normalien-Sammlung* i troska o obligacye pożyczkowe, stanowiące majątek gmin wiejskich, zostawiły jeszcze jaki kącik próżny w jego sercu, to kącik ten obawa z powodów *der Säuren im Magen* dzieliła z miłością dla Milci. Pragnął tedy pan Precliczek przedewszystkiem, ażeby mu się kiedy udało schwytać Bosaka i dostać za to order Franciszka Józefa; następnie pragnął, ażeby pewna *Umsturzpartei* mogła czemprędzej być zawieszona na szeregu nowiuteńkich szubienic, od Białej aż do Kut tak, jak jego mundury zawieszone były na kołkach u szaragów; następnie, ażeby tysiączki w jego szufladzie rosły tak, jak restancye w jego kancelaryi; następnie, ażeby jaki sławny doktór wynalazł skuteczną prezerwatywę przeciw kwasom w żołądku; a nakoniec, ażeby Milcia w jak najpomyślniejszy sposób dostała się zamąż. I jako zręczny wykonawca państwowo-policyjnego nadzoru w powiecie capowickim, wyszpiegował już był dla niej męża, chociaż jeszcze nie zwierzał się z tem nikomu.

Mężem tym był pan adjunkt polityczny przy urzędzie powiatowym capowickim, który, czy to

niemieckiemi, czy łacińskiemi czcionkami, podpisywał się pan Johann *von* Sarafanowycz. Owe *von* oznaczało, że rodzina Sarafanowiczów, która aż do r. 1848 była polską szlachtą unickiego obrządku, przyjęła w nowszych czasach narodowość austryacką, a *wycz* zamiast *wicz* pochodziło stąd, że wuj pana adjunkta, ksiądz Nabuchowycz, był bardzo znakomitym filologiem, „prowodirem naroda“ i „zastupnykiem“ jego we Lwowie i w Wiedniu, skąd łaski pana Szmerlinga sypały się na całą rodzinę.

Pan Johan *von* Sarafanowycz nie celował w filologii słowiańskiej, w Buczaczu musieliśmy mu zawsze pomagać w fabrykacyi *der ruthenischen Ausarbeitung*, a nawet teraz, kiedy znajomość cyryliki i grażdanki była mu podwójnie potrzebną, jako jedynemu świeckiemu reprezentantowi narodowości ks. Nabuchowycza w powiecie capowickim, ksiądz wikary obrządku rz. kat. musiał jemu i księdzu Łuckiewiczowi z Capówki czytać i tłumaczyć trudniejsze miejsca w *Słowie*, i raz, kiedy szacowny ten organ zaliczył przy jakiejś sposobności jego nazwisko do „rewnijszych borytełej i pokrowytełej narodnosty“, pan Johan *von* Sarafanowycz obraził się niezmiernie temi przezwiskami. Dopiero dłuższej argumentacyi ks. wikarego powiodło się przekonać go, że *borytel*, nie jest ten, co „burzy“, ale ten, co „boretsia“, t. j. walczy, a *pokrowytel* nie ten, co „krwią oblewa“, ale ten, co „pokrywa“, zasłania. Jednocześnie dodał ksiądz wikary parę uwag, że właściwie nierozsądną i próżniaczą jest rzeczą kować język, którym nikt nie mówi, i udowodnił p. Sarafanowyczowi i ks.

Łuckiewiczowi, że ich językiem ojczystym jest polski. Pan Sarafanowycz nie umiał na to odpowiedzieć, ale pomówił o tem z p. forszteherem, i w trzy dni później żandarmerya capowicka otrzymała ze Lwowa rozkaz śledzenia za wszystkiemi krokami księdza wikarego, jako bardzo niebezpiecznego agitatora.

Już z tego wszystkiego można poznać, że pan Johan *von* Sarafanowycz nie należał do rzędu tych, pod względem politycznym niebezpiecznych ludzi, których w świecie urzędniczym nazywano *offene Köpfe*, i których omijały zawsze wszystkie awanse. Ale natomiast głowa jego była twardą opoką, na której zbudować można było potężną świątynię lojalności, nie obawiając się załamania czaszki. Pokrewieństwo z księdzem Nabuchowyczem dokonało reszty, i podczas gdy zdolniejsi i starsi koledzy byli jeszcze tylko koncepts-praktykantami, p. Sarafanowycz był już adjunktem. Gdyby nie owa niema, ale skuteczna opozycya pani forszteherowej i Milci, o której wspomniałem powyżej, i która paraliżowała najgorliwsze zabiegi władzy, pan adjunkt na współ z panem forszteherem byłby może schwytał Bosaka, Kruka, Ćwieka, albo innego ważnego insurgenta, i byłby już teraz radcą ministeryalnym i kawalerem św. Anny. Gorliwość jego nie znała granic w r. 1846 — aresztował, co mu wpadło w ręce, szukał wszędzie za powstańcami i papierami, nawet tam, gdzie się rzucają najniepotrzebniejsze papiery. Przy jednej rewizyi, porucznik głównodowodzący w Capowicach, znudzony, zbyt długiem wertowaniem jakiegoś niebezwonnego zakamarku, w którym mogły być patrony al-

bo korespondencye, oświadczył bez ogródki: „*Aber erlaubens, Herr von Sarafanowycz, Sie sind doch ein rechter S..magen*“. Pan Sarafanowycz skarżył się u wyższych i najwyższych władz wojskowych, ale te pominęły milczeniem tak krzyczącą zniewagę, jak gdyby podzielały zdanie porucznika. A jednak p. Sarafanowycz nie był bynajmniej *ein S..magen*, ale był sobie, jak się sam wyrażał, „fanjs“ chłopiec. Miał małe siwe oczy, wystające kości u policzków, nos nieco zadarty, krzaczaste faworyty i nadzwyczaj skąpo rosnące żółtawe wąsy, z pod których sterczały naprzód dwa żółciejsze jeszcze zęby. Wszystko to oprawione było, jak w ramki, w dwa wielkie kołnierzyki, poza któremi bystrzejsze nieco oko mogło odkryć kołnierz od koszuli, znacznie od nich brudniejszy. Najulubieńszym strojem pana adjunkta był jego ciemno-zielony mundur o czerwonym aksamitnym kołnierzu, z trzema złotemi gwiazdami, bo strój ten przypominał mu jego urzędowe obowiązki, nakazywał wszystkim poszanowanie, sprawiał, że nikt nie mógł go wziąć za dymisyonowanego strażnika od c. k. akcyzy, i co najgłówniejsza, że nie wychodził z mody. Ten ostatni wzgląd był arcyważnym z powodu, że pan adjunkt był bardzo oszczędnym. Życie jego, chyba, że był gdzie proszonym na obiad albo na kolacyę, było jednem pasmem ciągłych ascetycznych ćwiczeń. Co piątku kupował wielki bochenek chleba, odznaczał na nim kredą siedm równych części i jednę z tych spożywał codziennie. Z komisyi przywoził zwykle po kilka woreczków grochu i ziemniaków, i pewną część tych wegetabiliów wyjmo-

wał co rana ze starannie zamkniętej skrzyni, ażeby je powierzyć pani amstdienerowej, która gotowała mu je potem na obiad przy swoim ogniu, ze swoją solą i przy pomocy swojej sługi. Oczywista rzecz, że siadłszy do stołu, pan Johann von Sarafanowycz przekonywał się najprzód, czy liczba gotowanych ziemniaków odpowiada tej, którą wydał rano. Jedynym zbytkiem, jaki sobie pozwalał, był kieliszek wódki rano, ale kordyału tego dostarczała mu z bezinteresownej grzeczności pani Henia Silber ze swego sklepu korzennego za różne ulżenia, których doznawała ze strony urzędu policyjnego co do otwierania sklepu w niedzielę i święta uroczyste. W przeciwnym razie p. adjunkt mógł stać się tak ścisłym przestrzegaczem przepisów konkordatowych, że handel towarami kolonialnemi w Capowicach, odbywający się głównie w święta, stałby się był niemożliwym.

ROZDZIAŁ V,

jako pan Johann von Sarafanowycz postanowił ożenić się i z kim?

Pan Sarafanowycz, jako człowiek z gruntu oszczędny i przyzwyczajony obchodzić się bez czystej bielizny, uważał stan kawalerski za odpowiedniejszy od małżeńskiego dla finansowych stosunków c. k. adjunkta powiatowego, wolnego od wszelkich kwasów w żołądku i innych cierpień chronicznych. Je-

żeli potrzebował wystąpić w pełnej gali, przywiązywał na szyję kołnierzyk, wyprasowany przez panią amtsdienerowę; jeżeli się przejadł na jakim proszonym obiedzie, p. amtsdienerowa gotowała mu rumianek, albo miętę. Żona byłaby w jego gospodarstwie meblem niepotrzebnym, a kosztownym, bo podwoiłaby konsumcyę grochu, ziemniaków, a może i wódki. Pan adjunkt oszczędzał co roku 1500 złr. ze swojej pensyi, wynoszącej 800 złr. rocznie; ożeniwszy się, mógłby był zaoszczędzić zaledwie 1420 złr. Chociaż tedy młodsi bracia pana Sarafanowycza, w liczbie sześciu (wszyscy parochowie lub wikaryusze obrz. gr. kat.), pożenili się już byli i mieli potomstwo tak liczne, że nawet w razie cholery, dżumy, lub innej jakiej epidemii, pochłaniającej połowę ludności, ród Sarafanowyczów należałby zawsze do najliczniej reprezentowanych w całym kraju — to p. Johann von Sarafanowycz był jeszcze w trzydziestym czwartym roku swego życia kawalerem, i nie myślał bynajmniej o zmianie tego stanu.

Ale jak już wyżej nadmieniłem, jest jakaś nieubłagana fatalność, która nas wszystkich popycha do ożenienia się, i nikt nie powinien zarzekać się tego i głosić stałe przedsięwzięcie niezawierania związków matrymonialnych, bo nim się opatrzy i nim sobie zda sprawę, skąd się to wzięło, pewnego pięknego poranku lub wieczora znajdzie się przed ołtarzem i na zapytanie księdza: czy masz Michale stałą i nieprzymuszoną wolę tę oto Annę pojąć za żonę i t. d.? odpowie mimowoli: mam! — dziwiąc się przytem niemało, że znalazła się Anna, gotowa je-

mu, Michałowi, przyrzec nawzajem wierność i posłuszeństwo małżeńskie, aż do zgonu. I zaraz nazajutrz dziwić się może będzie, że wyraz „posłuszeństwo“ ma w małżeństwie tak elastyczne znaczenie, jak wyraz „wolność“ w niektórych państwach konstytucyjnych, i nie będzie mógł pojąć, jakim sposobem konstytucyjni ministrowie wodzą za nos narody, którym przyrzekli wolność, skoro on, Michał, wodzonym jest za tę szlachetną część swej twarzy przez tę samą Annę, która j e m u przyrzekła posłuszeństwo? Tak to bywa między ludźmi, i najstarszy kawaler nie może wiedzieć, czy nie będzie jutro panem młodym. Nawet Jowisz nie uniknął ślepego Fatum, które go związało z Junoną.

Razu jednego tedy p. adjunkt wyjechał był za urlopem do wuja swego, ks. Nabuchowycza, u którego odbywał się prażnik. Uczta podobna u tak znakomitego prowodira, borytela, pokrowytela i t. d., musiała mieć koniecznie cechę polityczną. Mówiono bardzo wiele o potędze północnego sąsiada c. k. dziś już Austryacko-Węgierskiej monarchii i o podwyhach narodnosty wsierusskoj w Hałyczyni. Wyraz *podwyhy*, wynaleziony był właśnie wówczas, czy odkryty przez któregoś z rewniejszych borytełej i był bardzo w modzie. Za pomocą nader genialnej operacyi filologicznej, mechaniczne znaczenie polskiego wyrazu „dźwigać“ służyło tu w formie „podwyh“ do określenia „usiłowań, dążeń, zdobyczy, postępów“ i t. p. wzniosłych czynności patryotycznych. Jako widomy rezultat tych podwyhów, ks. Nabuchowycz wskazał w kwiecistej barwie i dla połowy obecnych

niezrozumiałej mowie, to że przy stole jego, oprócz duchownych reprezentantów rusko-słowiańskiej inteligencyi, tak potężnej nad Newą i nad Wołgą, zasiadało także dwóch świeckich, mianowicie p. kapitan Fajtrowicz i p. adjunkt Sarafanowycz — dwa żywe i namacalne dowody, że narodnost nasza celuje nietylko w śpiewaniu akafistów i w pożywaniu knyszów, ale także w prowadzeniu walecznych zastępów na pole bitwy i w trudnej sztuce rządzenia krajem. Pan kapitan Frajtrowicz, wychowany od małego dziecka w zakładzie wojskowym gdzieś w Dolnej Austryi, musiał sobie ten wzniosły *Speech* ks. Nabuchowycza kazać przetłumaczyć na c. k. język urzędowy, a gdy się dowiedział o jego treści, stuknął szklanką z czajem o stół, zaperzył się i zawołał: *A lassens mi' aus da wär' i' schon viel lieber a polnischer Offizier, als a ruthenischer!* Wśród ogólnej konsternacyi, jaką wywołały te słowa, ks. Nabuchowycz rzucił okiem na swego siostrzeńca, i ku wielkiemu swemu zmartwieniu spostrzegł wówczas po raz pierwszy, że p. Johann von Sarafanowycz, mimo swoich trzech złotych gwiazdek na czerwonym aksamitnym kołnierzu, między szerokiemi plecami i szerszym jeszcze brzuchem ks. Kropilnickiego, a zawiesistemi wąsami kapitana Frajtrowicza, był wcale niepokaźną, nikczemną figurką, która nie dawała należytego wyobrażenia o administracyjnych talentach i o wielkim politycznym podwyhu narodnosty naszej. Może to szósta szklanka mocnego czaju, a może oparta na doświadczeniu mądrość, natchnęła w tej chwili ks. Nabuchowycza genialną myślą, że

jest doskonały sposób, aby dodać pewnej majestatycznej powagi, pewnego *aplomb* w świecie każdemu, komu zbywa na tych zewnętrznych przymiotach. Oto ks. dziekan Prutyk, tak szczupły, że byłby przelazł przez dziurkę od klucza, i tak niepokaźny, że poddiaczy obok niego wyglądał jak metropolita, sprawiał mimo to niemałą sensacyę, ilekroć wchodził do pokoju, gdzie było towarzystwo, bo wraz z nim wchodziła przy takich uroczystych sposobnościach księdzowa dziekanowa dobrodziejka, dla której potrzeba było otwierać drzwi na rozcież i która peryferyą swoją imponowała nawet staroświeckiemu piecowi, zajmującemu połowę bawialnego pokoju ks. Nabuchowycza. Otóż to: jeżeli reprezentant podwyhu narodnosty w karyerze administracyjnej ma odgrywać rolę tak świetną, jak przystało rzeczywistemu c. k. adjunktowi powiatowemu, potrzeba go ożenić. Ksiądz Nabuchowycz poruszył natychmiast ten temat, i wyraził myśl swoją w tak gorącej i tak serdecznej przemowie, że zapomniał nawet o filologicznych podwyhach narodnosty przy tej sposobności. Zacząwszy bowiem rzecz oficyalnym, sejmowym swoim językiem, mieszał do niej coraz więcej słów polskich, i nakoniec nietylko on, ale i wszyscy obecni zaczęli mówić po polsku, zwłaszcza, że było to już przy dziewiątej szklance czaju i że nie było w pokoju żadnego Lacha, któryby mógł o tem napisać korespondencyę do *Gazety Narodowej*. Był tylko jeden Niedolaszek, i od tego ja się później dowiedziałem o przebiegu całej sprawy.

Ale precz z kwestyami językowmi, precz z agi-

tacyą i nienawiścią polityczną! Przy dziewiątej szklance czaju, redaktor *Dziennika Lwowskiego* padłby w objęcia kronikarza *Gazety Narodowej*, *Chochlik* całowałby się w twarz z lwowskim korespondentem *Dziennika Poznańskiego*, smakosz krakowski chwaliłby ciastka Rotlendera, a lwowski król kurkowy przyznałby, że krakowscy strzelcy trafiają czasem w „czarne".

Dość, że przy dziewiątej szklance czaju, ksiądz Nabuchowycz przedstawiał po polsku swemu siostrzeńcowi, iż własna jego godność, jego stanowisko w świecie, jego obowiązki względem Boga, narodu, społeczeństwa i rodziny wymagają koniecznie, ażeby się ożenił. Wszyscy dobrodzieje, i wszystkie dobrodziejki, hojnie obdarzone niezamężnem potomstwem płci żeńskiej, popierały usilnie te „święte" słowa ks. Nabuchowycza. I chociaż p. kapitan Frajtrowicz twierdził, iż to wszystko jest *„a' Schmarrn"*, stanęło na tem, iż człowiek dopiero wtedy jest człowiekiem, gdy się ożeni; że nawet adjunkt jest prawdziwym adjunktem dopiero wtedy, gdy pani adjunktowa pomaga mu dźwigać brzemię jego wysokiego dostojeństwa. Dalej wykładał ks. Nabuchowycz swoje zapatrywania się co do przymiotów, jakie powinna mieć c. k. adjunktowa. Powinna być, *pro primo*, przystojną, uległą mężowi, gospodarną i wykształconą tak na fortepianie, jakoż w języku niemieckim i francuskim, tudzież w kadrylu, walcu i we wszystkich rodzajach polki. Dobrodziejki znajdowały jednogłośnie, że te wymagania są zupełnie słuszne — i jakżeż nie miały tego znajdować, kiedy

wszystkie ich córeczki były gładkie i kwitnące, jak pączki, potulne, jak baranki, gospodarne, jak Niemki, kiedy grały na fortepianie, uchodziły za znakomite lingwistki, każda w swojej parafii, i tańczyły tak ochoczo, jak młode kotki? W istocie, pominąwszy fortepian i lingwistykę, te dwa utrapienia naszych pokojów bawialnych i naszych salonów, co do reszty powyższych zalet panny na plebaniach unickich mogą współzawodniczyć nieraz bardzo zwycięsko z wszystkiemi innemi pannami.

Mniej poparcia między jejmościami dobrodziejkami znalazł dalszy wywód ks. Nabuchowycza, że c. k. adjunktowa nie powinna c. k. adjunktowi być ciężarem, ale powinna mu być ulgą w dźwiganiu finansowych brzemion stanu matrymonialnego, czyli mówiąc jaśniej, że powinna mieć posag, odpowiadający godności c. k. urzędnika, należącego do IX klasy dyetowej. Punkt ten należał do najsłabszych we wszystkich pomienionych plebaniach, a blask, należący się IX klasie dyetowej, wydawał się, dzięki wymowie ks. Nabuchowycza, czemś tak nadziemskiem, jak promienie, okalające mitrę i brodę wielkiego cudotwórcy, świętego Mikołaja. Było tam coś cwancygierów, czerwieńców i papierków bankowych u każdego prawie dobrodzieja, ale czy ogólna suma i wartość tych numizmatów i dowodów kredytu państwowego mogła reprezentować posag, odpowiadający IX klasie dyetowej, to się nie dało obliczyć odrazu. Dobrodziejki ostygły tedy w swoim zapale, a ponieważ tymczasem liczba tych szklanek czaju, które nastąpiły po dziewiątej, doszła była nader znacznej cy-

fry; ponieważ natańczono się, naśpiewano, nagadano i naśmiano aż do zmęczenia: więc komu bliżej było do domu, ten kazał zaprzęgać i jechał, reszta zaś gości rozłożyła się na nocleg w plebanii w sposób, znany tylko w domach polskich, czy mazurskich, czy ruskich, w tych domach, co to zdają się rość i rozszerzać w miarę liczby przybywających gości:

„Przybył drugi i dziesiąty,
I nie ciasno jest nikomu,
Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzej w całym domu!“

P. adjunktowi ostatnia część mowy szanownego wuja trafiła jak najmocniej do przekonania, mocniej niż pierwsza. P. adjunkt nie był *ein offener Kopf*, ale zrozumiał odrazu, że pensya IX klasy i posag IX klasy razem wzięte, mimo podwojonej konsumcyi grochu i innych wiktuałów, pozwalałyby oszczędzić co roku więcej, niż pensya sama. Zresztą pani adjunktowa dla niejednego pana adjunkta jest wyśmienitym pretekstem, pod którym różne kury, osełki masła i sera, plastry miodu, ryby na Wigilię, bakalie na Wielkanoc i tym podobne rzeczy, bez żadnego uszczerbku dla miesięcznej pensyi 66 złr. i 66 cen., zasilają spiżarnię. I dlaczegożby się p. Johann von Sarafanowycz nie miał ożenić, skoro najbliżsi jego krewni uchwalili, że potrzeba mu tego koniecznie, ażeby był człowiekiem? Cała trudność była w tem, gdzie znaleść stosowną partyę? Pan adjunkt, powtarzam to jeszcze raz, nie był *ein offener Kopf*, i myślenie sprawiało mu wiele kłopotu

i zachodu, dlatego też, gdy był w Capowicach i miał co referować w swojem biurze, rozkazywał zwykle któremu dyurniście, ażeby myślał za niego, poczem podpisywał poprostu gotowy referat. Ale w tej chwili nie miał przy sobie dyurnisty, i ten byłby mu się zresztą nie przydał do zreferowania tego specyalnego wypadku, na który nie było nawet formularza w całym urzędzie powiatowym capowickim. Pan adjunkt przewracał się tedy na słomianem posłaniu w izbie ks. Nabuchowycza, gdzie spali „pokotem“ pozostali goście płci męskiej i gdzie pan kapitan Frajtrowicz, wraz z sześcioma proboszczami, wykonywał najdoskonalszy septet, na jaki zdobyło się kiedy chrapiące towarzystwo poprażnikowe. Pan adjunkt myślał bez swego dyurnisty, a myśli jego, wraz z dwunastoma szklankami czaju, wywijały tak szalonego obertasa w jego głowie, że zdawało mu się, iż potrzebuje tylko poczekać trochę, a świat, kręcąc się wokoło coraz prędzej, rzuci mu pod nogi posag *der IX Diäetenklasse* i przyszłą c. k. adjunktowę. Ale świat kręcił się i pan Johann von Sarafanowycz zasnął, i zbudził się nazajutrz, i był w drodze do Capowic, a posag i przyszła c. k. adjunktowa były dla niego jeszcze zawsze kwadraturą koła, problematem nie do rozwiązania.

Dla większej oszczędności p. adjunkt przysiadł się był na furę do Herszka, który wracał właśnie z jarmarku w Kozłowicach, i który sam był się przysiadł, wraz z kupionem na jarmarku cielęciem, do p. Macieja, przedmieszczanina z Capowic, także wra-

cającego z jarmarku i wiozącego dwa podświnki, panią Maciejowę, półsetek płótna, cztery młodsze indywidua, należące do rodzaju nierogatego, i niektóre inne drobiazgi, nabyte wzamian za wieprze, korzystnie na jarmarku sprzedane. Pan Maciej i pani Maciejowa byli przy fantazyi i protestowali dość energicznie przeciw obciążeniu ich ekwipażu przez osobę i bagaże p. adjunkta, ale Herszko załatwił jakoś tę sprawę, tłumacząc im, że pan adjunkt jest wielkim człowiekiem i że to wielki zaszczyt dla takich, za pozwoleniem, świń, jechać z tak znakomitym purecem. Pani Maciejowa wzięła to z początku za urazę osobistą i rozpoczęła bardzo obszerną i gruntowną dysertacyę na ten temat, że bynajmniej nie jest pijaną, i że jeżeli są gdzie, za pozwoleniem, świnie, to niech idą piechotą i t. d. Poczem Herszko założył solenny protest, jakoby powyższe słowa jego stosowały się do innych, jak tylko do owych sześciu czworonożnych towarzyszów podróży, i oświadczył się w bardzo pochlebny sposób co do czerstwego zdrowia i hożego wyglądania tak pani Maciejowej, jako też obydwu podświnków i wszystkich czterech prosiąt, i co do rozumu, objawianego przez panią Maciejowę przy każdej sposobności i na każdem miejscu. Dzięki tej dyplomacyi, pan adjunkt uskutecznił swoją podróż do Capowic niezbyt wygodnie ale bardzo tanio i mógł zabawić się przez całą drogę rozmową z p. Herszkiem.

I jak tu nie wierzyć w cudowne zrządzenia losu? Gdyby nie ta podróż na wózku p. Macieja, gdyby nie rozmowa z Herszkiem, przerywana od czasu

do czasu kwiczeniem i beczeniem przeważnej większości pasażerów, nie byłoby może całej niniejszej powieści, a przynajmniej nie byłoby najdramatyczniejszego jej zawikłania. Ksiądz Nabuchowycz powiedział tylko, że pan adjunkt powinien się ożenić, ale nie powiedział z kim — Herszko rozwiązał tę trudność jednem magicznem słowem:

— Nasza panna forszteherówna taka ładna, aj waj, a taka bogata, ććć! Nu, pan adjunkt powinienby się z nią ożenić.

Łuski spadły z oczu pana adjunkta. Nie słyszał już dalszych rozpraw Herszka, wózek p. Macieja kołysał go, a on kołysał w swojej głowie błogą myśl, że raz przecież udało mu się mieć koncept bez pomocy dyurnisty. Był to wprawdzie koncept Herszka, ale pan Sarafanowycz był już tego właścicielem i tego dnia wieczór p. Maciej, oprócz p. Maciejowej, Herszka, cielęcia, półsetka płótna i sześciu sztuk nierogacizny, przywiózł do Capowic konkurenta do ręki panny Emilii.

ROZDZIAŁ VI,

w którym oprócz wiarogodnej relacyi o napadzie Polaków na Capowice, można znaleźć opis dalszych powodzeń p. Sarafanowycza w kandydaturze do stanu małżeńskiego.

Nazajutrz rano, po tym tak ważnym, choć drobnym wypadku, pani amtsdienerowa, zajmująca się,

jak wiadomo, niektóremi szczegółami kawalerskiego gospodarstwa p. adjunkta, spostrzegła ku niezmiernemu swemu zdziwieniu, że jej lokator nad wszelki swój zwyczaj, bo w piątek, zajęty jest, a nawet całkiem zaabsorbowany trudną i bolesną operacyą golenia swej brody. W izdebce, którą p. Sarafanowycz odnajmował od p. Schwalbenschweifowej — to było bowiem nazwisko owej zacnej niewiasty — oprócz łóżka, skrzyni, szaragów i kuferka, znajdował się duży drewniany stół, a na tym stole leżały, rozrzucone w artystycznym nieładzie, różne akta urzędowe, rekwizyta do pisania, szczotki do czyszczenia butów, kawałek chleba, grzebyk trochę wyszczerbiony, i inne tym podobne przybory kancelaryjne i tualetowe. Wśród tego wszystkiego, p. adjunkt urządził obecnie swoją gotowalnię, a to w ten sposób, że wystawił małą barykadę ze Zbioru ustaw i przepisów politycznych *von Drdacki Ritter v. Ostrow*, z dwóch roczników c. k. *Reichsgesetzblattu* i z *Istoryi drewniawo Gałyczysko-Russkawo Kniażestwa*, którą to ostatnią nabył za gotowe pieniądze, jako borytel i pokrowytel narodnosty, ale której jako niewtajemniczony w sztukę deszyfrowania zawilszych komplikacyj grażdanki, nigdy nie czytał. Nie przeszkadzało mu to jednakże powoływać się na to dzieło p. Zubrzyckiego, jako na źródło wszelkiej wiedzy i mądrości ludzkiej — ile razy indywidua, należące do *Umsturzpartei*, podawały w wątpliwość jaką tezę lojalną, nap. potrzebę zaprowadzenia stanu oblężenia i wart chłopskich w r. 1864, albo potrzebę codziennych rewizyj po domach. Wówczas pan ad-

junkt z miną na wszystkie guziki zapiętą oświadczał, że Polacy jeszcze w przedhistorycznych czasach byli narodem nawskroś politycznie podejrzanym, i że ma w domu książkę, w której to „stoi wydrukowano“. O wszystkie te skarby literackie oparty był teraz kawałek zwierciadła bez ramek, tak wielki, że pan adjunkt mógł widzieć w nim swoją brodę i cześć sterczących nad nią dwóch zębów, a więc tyle, ile potrzeba było do wspomnianej powyżej mozolnej operacyi. Trzy czy cztery cięcia w twarzy świadczyły już o gorliwości, z jaką p. Sarafanowycz poświęcał się temu zajęciu, i nie słyszał nawet, gdy weszła pani Szwalbenschweifowa. Nakoniec, gdy już broda jego była według przepisu, *bis an den Mundwinkel*, tak gładką, jak mogła być w podobnych okolicznościach, obtarł się, i z tryumfującym uśmiechem admirował w zwierciadle upiększenie, jakiego świeżo doznało jego oblicze. Potem podparł się pod boki, wyciął prysiudę, wykręcił się na jednym obcasie, i spostrzegłszy panią amtsdienerowę, zawołał:

— A co, nieprawda, co fajns chłopiec?

— Ta-że! — odpowiedziała pani amtsdienerowa, nadając swojej fizyognomii wyraz tego najuniżeńszego uwielbienia, jakie żona woźnego winna tak wysokiemu przełożonemu swojego męża. Pani asystentowa winna to p. kasyerowi, pani kanceliścina panu forszteherowi i t. d. — porządek publiczny i dobro służby wymaga tego. Biada urzędnikowi, którego żona popełniłaby insubordynacyę wobec jego przełożonego!

Zadziwienie pani Schwalbenschweifowej wobec

nadetatowej tualety p. adjunkta, który golił się zwykle tylko w niedzielę, wzrosło do większych jeszcze rozmiarów, gdy spostrzegła, że oprócz świeżuteńkiego kołnierzyka, wdział jeszcze cywilny ciemno-zielony surdut, i zawiązał w ogromny „fontaź“ największą i najpiękniejszą swoją niebieską krawatkę, nim udał się do biura. P. amtsdienerowa spostrzegła zaraz, że coś się święci, i wyszedłszy w pół godziny potem na miasto, gdzie spotkała panią asystentowę, zwierzyła się tejże ze swoją obawą, iż p. adjunkt jest zakochany. Wiadomość tego rodzaju była dla Capowic materyałem tak nieocenionym, jak dla *Czasu* podróż p. Sartiges z Rzymu do Paryża, lub z Paryża do Rzymu. Nie pisano o niej wprawdzie długich i licznych artykułów wstępnych, ale robiono ustnie nader wyczerpujące komentarze, i udzielano sobie nawzajem uwag i doniesień z szybkością, wobec której używany po za Capowicami sposób przesyłania wiadomości telegrafem jest tylko marną stratą czasu. Tak tedy do południa wiedziano już i roztrząsano to we wszystkich domach capowickich i w niektórych miejscowościach przyległych, że pan adjunkt Sarafanowycz kocha się — stara się — o kasyerównę starszą — nie, o młodszą — nie, o kontrolerównę — otóż nie, bo o siostrę pani pocztmistrzowej i t. d. Musiałbym poświęcić temu przedmiotowi osobny rozdział, gdybym chciał powtarzać wszystkie te pogłoski i zaprzeczenia; wspomnę więc tylko, że jak Sir James Skrzeczkowski w dworach okolicznych, tak i pan Johann von Sarafanowycz w niektórych domach capowickich ode-

grał nieraz rolę owych winogron, co to nikt nie chce, bo kwaśne...

Tymczasem kwaśnym naprawdę był tego dnia tylko p. Precliczek, i pan adjunkt, wchodząc na schody, prowadzące do biura prezydyalnego, omal nie został roztrącony przez jakiegoś biednego żydka, jakiegoś wójta i dwie baby z suplikami pod pachą, którym pan becyrksforszteher właśnie w tej chwili pomagał własnonożnie dostać się czemprędzej z pierwszego piętra na dół, z pominięciem zwykłych przezorności ekwilibrystycznych, praktykowanych przy takiej sposobności.

— *Stellen Sie sich vor* — zawołał p. Precliczek do p. adjunkta, gdy ten już był na górze — *stellen Sie sich vor* — i począł mu opowiadać tajemnicę prezydyalną, którą powtarzam tu, spuszczając się na dyskrecyę czytelnika.

W Małostawicach komisya serwitutowa załatwiła była spór gromady z dworem o las i pastwisko, ku zupełnemu zadowoleniu stron obydwóch, i właściciel lasu, pan Bzikowski, wyszedł był obronną ręką z tej drażliwej sprawy. Pan Bzikowski należał do *Umsturzpartei*, i to do tego najniebezpieczniejszego gatunku, który nietylko knuje spiski, ale pozwala sobie jeszcze czasem drwić z organów bezpieczeństwa publicznego w sposób wcale niedwuznaczny. P. Bzikowski nie przyznawał na p. istnienia kwasów w żołądku pana Precliczka, i twierdził, że p. Precliczek nie kwasy, ale Polaków ma w żołądku, co przetłumaczone na niemieckie, było zrozumiałem i złośliwem. Pan Bzikowski powsadzał był

jednego razu wszystkich swoich parobków na konie folwarczne, dosiadł sam wierzchowca, i na czele tego hufca wpadł w nocy kłusem do Capowic, objechał wszystkie ulice i następnie cwałem zretyrował się do Małostawic, wskutek czego pan forszteher był tak przerażony, że ściągnąwszy żandarmeryę z koszar, obsadził nią swoje mieszkanie, kazał bić na alarm w dzwon kościoła capowickiego i przez trzy dni całą ludność tego spokojnego miasta trzymał pod bronią, t. j. pod kosami, cepami i widłami, nim nadeszły rekwirowane z obwodowego miasta posiłki wojskowe. Dopiero wtenczas pan Precliczek, napół już tylko żywy z przerażenia i polecając duszę swoją Bogu, a rodzinę swoją łasce Najj. Pana na wypadek jakiej strasznej dla siebie katastrofy, ruszył w pogoń za mniemanymi insurgentami. W przedniej straży szła żandarmerya, za nią oddział piechoty, a za tą jechał p. Precliczek na bryczce, otoczonej huzarami, która to eskorta nie dodawała mu bynajmniej otuchy, bo mając bardzo lekkie konie, mogła w razie niebezpieczeństwa uskutecznić swój odwrót daleko prędzej, niż p. forszteher na bryczce. Zajęto atoli bez wystrzału Małostawice, obsadzono dwór i folwark wojskiem, przetrząśnięto wszystko— i nie znaleziono niczego. Zwołano oficyalistów, parobków i t. d., ale wszyscy zgodnie zeznali, że owej pamiętnej nocy ulubione źrebię pana Bzikowskiego gdzieś się było zabłąkało i że mniemany napad „Polaków“ na Capowice był tylko objawem troskliwości właściciela Małostawic o całość swojego inwentarza, a nawet o dobro c. k. monarchii, bo dla tej

przeznaczył on owe źrebię, jeżeli się wychowa, ażeby kiedyś może uniosło szczęśliwie z placu bitwy jakiego obrońcę c. k. ojczyzny. Wszystko to dosłownie pan Bzikowski podyktował do protokułu, i pan Precliczek wrócił do Capowic bez innego rezultatu, oprócz pliku aktów i jakiegoś gastrycznego cierpienia, a zamiast zasłużonego pochwalnego dekretu od namiestnictwa, usłyszał tylko z ust własnej żony, pani Precliczkowej, z domu Hanserle, że jest gł... Szwabem!

Było tedy rzeczą w najwyższym stopniu niesłuszną, by taki pan Bzikowski nie „beknął“ za wszystkie swoje sprawki; i było rzeczą niebezpieczną, by taki rewolucyonista zostawał w dobrem porozumieniu z gromadą, bo to byłoby całe Małostawice przemieniło na kuźnię propagandy rewolucyjnej. Pan Precliczek zapobiegał temu, oświecając włościan małostawickich, że przy ugodzie serwitutowej byli pokrzywdzeni i że Najj. Pan jest bardzo łaskaw dla biednego ludu i t. d. Włościanie zrozumieli to tak, że Najj. Pan przeznaczył im na własność las p. Bzikowskiego i jego pastwiska, zaraz tedy nazajutrz poczęli rąbać i paść, jak na swojem. Wszczęły się stąd różne zwady i bójki, których opis ciekawy czytelnik znajdzie w *Gazecie Narodowej* z owego roku. Przy tej sposobności pokazało się, że adwokacka czynność małostawickiego pisarza gminnego, wobec wznowionego sporu o serwituta, jest niedostateczną, i pan Precliczek z chrześcijańskiej miłości raczył własnoręcznie napisać włościanom jedną i drugą suplikę do komisyi we Lwowie i do ministerstwa. Supliki

te wpadły w ręce jakiemuś urzędnikowi, który poznał pismo pana forsztehera, a znużony wiecznemi skargami z Małostawic, napisał o tem siarczystą relacyę i pana Precliczka przedstawił jako źródło wszystkich owych sporów i niepokojów. Byłoby się może na tem skończyło, gdyby nie ten magazyn wszelkiej przewrotności, ten zbiór napaści i intryg wszelkiego rodzaju, jednem słowem, gdyby nie *Gazeta Narodowa*. Utylitarny ten organ, zamiast zajmować się „głośnem wyznawaniem zasad narodowych i wytwarzać polskie stronnictwo narodowe", w dwóch szpaltach drobnego druku obznajomił swoją publiczność ze sprawą małostawicką, siejąc, jak zwykle, niezgodę, niepokój i obelgi. Zrobił się hałas, i oto właśnie pan forszteher otrzymał był od p. Summera prezydyalne pismo, w którem „z nakazu ministeryalnego" — a ministrem był już, niestety, Belcredi — polecano mu, *er habe sich standhaft zu äussern*, jakim sposobem śmiał jako c. k. urzędnik pisać stronom supliki? Było to coś jakby zapowiedź śledztwa dyscyplinarnego — rzecz nader niemiła w czasach, gdzie rząd ma zbyt wielu urzędników, i rad pozbyć się bodaj jakiejś ich części dla ulżenia budżetowi.

Wszystko to pan Precliczek wyłuszczył panu Sarafanowyczowi wśród wylewu gorzkich uczuć, które musiały napełnić jego serce na widok tak czarnej niewdzięczności ministeryalnej. P. Sarafanowycz nie był *ein offener Kopf*, i nie mógł nic poradzić w tym wypadku, ale ks. Nabuchowycz, jego wuj, był bardzo dobrze widziany niegdyś u p. Schmerlinga, a teraz jeszcze u pana Summera. Zależało tedy

na tem, aby ks. Nabuchowycz napisał lub pojechał do Lwowa, i aby przedstawił panu Summerowi, jak niesłusznem jest turbować dla takiej bagatelki urzędnika, którego działalność w Capowicach była zawsze tak błogą dla bezpieczeństwa monarchii, dla spokoju i porządku publicznego i dla ochrony tej nieszczęśliwej, uciemiężonej przez Lachów narodowości ruskiej.

— *Den ich bin eigentlich ein Ruthene* — zapewniał pan Precliczek pana Sarafanowycza — *ich schwärme für die ruthenische Sprache und Literatur — das weiss Ihr Oheim am besten.*

Przyszło tedy do wymiany bardzo serdecznych oświadczeń przyjaźni między panem Precliczkiem a p. Sarafanowyczem, i przy tej to sposobności pan adjunkt wynurzył się po raz pierwszy swemu szefowi, że wdzięki panny Emilii owładnęły jego serce, że pragnie gorąco zrobić ją panią Johannową von Sarafanowyczową.

O biedna Aldono — biedna Grażyno, lub innego jakiego imienia bohaterko własnych twoich marzeń, osnutych na tle tych pieśni złotych i skrzydlatych, jak anioły — co kołyszą twoją duszę i unoszą ją w piękniejsze, lepsze światy! Twój Alf, czy Litawor, czy Wacław, nie jest tym czarnowłosym, wysmukłym półbogiem o promiennem spojrzeniu, o płomienistej duszy i płomienistszem jeszcze sercu, z dłonią wyciągniętą do spełnienia jakiegoś niesłychanie wzniosłego czynu, z piersią, tak dumnie i zuchwale narażającą się na pociski jakiegoś strasznego wroga, — nie jest tym bohaterem, którego wy-

śniłaś właśnie, zdrzemawszy się z poematem Malczewskiego pod główką. Nie jest on tym, ani żadnym innym bohaterem, nie zleciał z obłoków, w błyszczącej, srebrzystej zbroi, z włosem przez wiatr rozwianym, nie nachylił się ku tobie, by usłyszeć cicho we śnie powtórzone słowa pieśni:

„Czy Marya ciebie kocha? mój drogi, mój miły...
„Więcej niż kochać wolno — niźli starczą siły!“

Ach, nie! Jest on c. k. adjunktem, w ciemnozielonym surducie, z żółtawemi bakenbardami i żółtemi zębami, przyjechał wczoraj z prażniku na wózku p. Macieja, wraz z panią Maciejową, Herszkiem i innemi stworzeniami Boskiemi, i wszedł teraz do bawialnego pokoju jako „fajns“ chłopiec, zaproszony przez p. forsztehera na podwieczorek, składający się z kawy i dowolnej ilości bułek. Wstań, Milciu, i ukłoń się p. adjunktowi!

Przy kawie rozmowa toczy się w ten sposób, że p. adjunkt mówi do pana forsztehera po niemiecku, a do pań od czasu do czasu odzywa się z czemś po polsku. Z panem forszteherem mówi o amtshandlungach różnego rodzaju i innych przedmiotach urzędniczej gawędy, do których zaliczyć należy przedewszystkiem kwestye nap. takie, gdzie tego a tego przeniesiono, ile lat ten lub ów służy, dlaczego awansuje lub bywa pomijany przy awansach. Z paniami wybór materyi trudniejszy; pan Sarafanowycz wybiera tedy materyę najbliższą i pyta Milcię, ile kosztuje łokieć tego, z czego ma suknię i jak się to

nazywa. Dowiedziawszy się, że to bareż, po 35 cnt. łokieć, p. Sarafanowycz wyczerpał przedmiot i następuje głębokie milczenie, przerwane nakoniec przez Milcię zapytaniem, czy p. adjunkt pozwoli może drugą szklankę kawy. Poczem cały fajerwerk głębokiego uczucia wylatuje z siwych oczu pana adjunkta, odbija się od piwnych oczu Milci i wpada w maszynkę z kawą tak wyraźnie, że chociaż p. adjunkt oświadcza przytem, iż „całuje rączki", Milcia widzi się zniewoloną nalać mu drugą szklankę kawy, i podaje mu ją, odwracając twarz w inną stronę, częścią, ażeby nie widzieć niezbyt starannie umytej i wypranej powierzchowności pana Sarafanowycza, a częścią, ażeby on nie widział złośliwego uśmiechu, którego Milcia powstrzymać nie może, przypomniawszy sobie w tej chwili, że pan adjunkt wypił raz ośm szklanek kawy jedną po drugiej, w Głęboczyskach u państwa Kuderkiewiczów, i że doktor Herz zaaplikować mu musiał wskutek tego ośm różnych mikstur z apteki p. Pigulskiego. Tym razem, po wypiciu drugiej szklanki przez p. adjunkta i zniknięciu wszystkich bułek, które były na stole, towarzystwo powstało i obydwaj panowie udali się do pokoju pana forsztehera na poufną rozmowę.

W Capowicach zaś jeszcze przed zachodem słońca wiedziało każde dziecko, że pan adjunkt stara się o Milcię, forszteherównę, że był u forszteherów na kawie, że służąca zbiła imbryczek, że bułki przywiózł wczoraj Dudio z Kozłowic, i że Milcia tak nadskakiwała panu adjunktowi i mizdrzyła się do niego, że panny kasyerówny, panna kontrolerówna

i siostra p. pocztmistrzowej oświadczyły zgodnie, iż nie uczyniłyby tego „choćby on był księciem".

ROZDZIAŁ VII,

z którego wynika niespodzianie, że pan Schreyer jest „wcale do rzeczy."

Rezultat konferencyi pana Precliczka z panem Sarafanowyczem pozostał przez dłuższy czas tajemnicą tak dla Capowic, jak i dla rodziny pana forsztehera. Ciekawość publiczna w tem „niebardzo podłem" mieście była do głębi poruszoną, a mianowicie pani asystentowa znosiła prawdziwe męki, nie mogąc pogodzić z sobą dwóch tak jawnych faktów, jako to, że pan adjunkt rozmawiał poufnie z panem naczelnikiem i bywał odtąd bardzo częstym gościem w domu tego ostatniego, a jednak nie słychać było jeszcze nic stanowczego ani o deklaracyi, ani o wyjściu pierwszej zapowiedzi, ani nawet o szyciu wyprawy. Osoba, tak dobrze życząca całemu światu i tak chętnie i gorliwie zajmująca się interesami całego świata, jak pani asystentowa, musiała cierpieć niemało z tego powodu. Widzieć codzień kilka razy pana forsztehera, panią forszteherową, Milcię i pana adjunkta, wiedzieć, że „coś się święci", a nie wiedzieć co — nie wiedzieć nawet, czy suknia ślubna będzie z atłasu, czy z mory lub innej materyi,

i czy do gotowania uczty weselnej będzie pożyczony kucharz od pana Capowickiego, czy też od pana Papinkowskiego — jednem słowem, nie mieć żadnej a żadnej informacyi, którąby można podzielić się z przyjaciółkami, przyjaciółmi i znajomymi, przedyskutować, rozważyć, wysnuć z niej pochwałę lub naganę — to więcej, niż może znieść zwykła kobieta w zwykłem miasteczku. Jedni tylko p.p. dziennikarze mogą mieć wyobrażenie o tantalowskich męczarniach, kiedy z ławki swej w sali sejmowej widzą, jak woźny podaje telegram księciu marszałkowi albo panu namiestnikowi, a nie mogą dowiedzieć się, co zawiera depesza.

Nie chcę być okrutnym, i nie chcę, by czytelnicy moi podzielali straszny los pani asystentowej i p.p. dziennikarzy, opowiem im tedy odrazu, że na owej poufnej konferencyi w pokoju pana forszteha, pan adjunkt przyrzekł swemu szefowi postarać się o interwencyę księdza Nabuchowycza w kwestyi suplik serwitutowych małostawickich, a pan Precliczek przyobiecał natomiast p. Sarafanowyczowi uczynić go swoim zięciem. Jako przezorny polityk, zastrzegł sobie atoli pan Precliczek, że nie chce krępować woli swej córki i że wszystko zawisło ostatecznie od jej decyzyi — radził tedy panu adjunktowi, ażeby starał się przypodobać Milci, dodając, że przez czas trzydziestoletniej wiernej służby, cierpiąc nieraz niedostatek i poprzestając na kawałku suchego chleba, zbierał grosz do grosza dla swego kochanego, jedynego dziecka (tu otarł dwie rzewne łzy z oczu) i uzbierał 3,000 złr. — które stanowić

będą posag Milci. Twarz pana adjunkta przedłużyła się mocno, gdy usłyszał tę cyfrę i jął przekładać panu forszteherowi, że wuj jego, ksiądz Nabuchowycz, dał 10,000 swej córce, wydając ją za praktykanta konceptowego, a przecież między praktykantem a adjunktem jest ogromna różnica, i utrzymanie żony, krynolina, trzewiki, sługa i t. p. kosztują rocznie więcej, niż procent od 10,000 wynosi. Tu pan forszteher westchnął i oświadczył, że zapożyczywszy się, mógłby jeszcze dołożyć 1,000 złr. do owych 3,000. Na to odpowiedział pan Sarafanowycz, że i 4,000 w oczach jego i ks. Nabuchowycza są tylko kroplą w morzu wydatków, grożących żonatemu adjunktowi, który chce godnie utrzymać honor swoich trzech złotych gwiazdek na czerwonym, aksamitnym kołnierzu. Pan forszteher westchnął znowu i dołożył jeszcze 1,000 złr. W tym sposobie ciągnęły się rokowania dalej, i w końcu, na tym pierwszym terminie sądowym, bohaterka niniejszej powieści wylicytowaną została do sumy 8,000 złr. pod warunkiem, że pan Sarafanowycz musi jej się wprzód podobać.

Ażeby oddać zupełną słuszność panu Precliczkowi, należy powiedzieć, że ani mu przez głowę przeszła myśl radzenia się w istocie swej córki co do wyboru jej męża. Pan Precliczek znosił u siebie w domu tylko bierną opozycyę kobiet, na którą nie zważał, i którejby przełamać nie mógł, gdyby był chciał. A w ważniejszych rzeczach, *das Raisonniren* ze strony żony lub córki byłoby mu się wydawało karygodnem, jak gdyby nap. wójt z Capowej Woli

oświadczył, że jego gmina chce korespondować z urzędem po polsku, skoro pan forszteher nakazał, by korespondowała po niemiecku. Mówił on o wolnej woli swej córki, ażeby nie dawać panu Sarafanowyczowi ostatecznego przyrzeczenia—była to z jego strony polityka „wolnej ręki". Oprócz sprawy suplik małostawickich i kilkunastu jeszcze spraw i sprawek tego rodzaju, zagrażała panu forszteherowi wisząca już naówczas nad całym krajem reorganizacya urzędów powiatowych, pomoc i przyjaźń księdza Nabuchowycza była mu tedy ze wszech miar potrzebną i pożądaną. Ale kto wie, mógł się może obejść bez niej, bo miał kolegów w namiestnictwie i w ministerstwie, miał zasługi z roku 1846, 1849 i 1864 za sobą, a wówczas nie potrzebowałby dawać ani córki, ani, co gorsza, 8,000 złr. Chciał więc tylko zyskać na czasie i utrzymać dobre stosunki z tak wpływowym człowiekiem, jak ksiądz Nabuchowycz.

Pan Johann von Sarafanowycz, wróciwszy do domu, wziął ołówek i papier do ręki i począł rachować. Szło mu to jakoś niesporo i „próby" nie zgadzały się nigdy. Pobiegł tedy na drugą stronę ulicy, do szkółki miejskiej i zawezwał pomocy pana Steczkowskiego, profesora wszystkich ścisłych i humanitarnych nauk, jakoteż i kaligrafii przy akademii capowickiej. Obydwaj ci znakomici uczeni, z których jeden skończył prawa i odbył trzy egzamina państwowe, a drugi, po kilkuletnim kursie „preparandy", przez najwyższe władze szkolne świeckie i duchowne uznany został gruntownym pedagogiem,

obliczyli nakoniec, po niejakich mozołach, ale z większą ścisłością niż pan Starkel obliczył paralaksę słońca, że 8,000 po pięć od sta daje rocznie 400, a po 6 od sta 480, co w pierwszym wypadku wynosi 33 złr. 33 cnt., a w drugim równo 40 złr. miesięcznie. Próby, przedsięwzięte za pomocą odwrotnych operacyj arytmetycznych, nie pozwalały wątpić ani na chwilę o dokładności tego rezultatu — prędzejby już można wątpić o tem, czy którykolwiek astronom, za pomocą matematyki Mocnika, przeznaczonej dla niższych klas gimnazyalnych i realnych, i za pomocą tej świętej prawdy, iż suma wszystkich kątów w trójkącie równa się dwom prostym kątom — zdołał chociażby w przybliżeniu obliczyć oddalenie ziemi od słońca. Pan Pigulski, aptekarz w Capowicach, zaręczał o sobie, iż jest bardzo biegłym matematykiem i opowiadał często panu pocztmistrzowi, jak to astronomowie, siedząc na bardzo wysokich górach, widzą zawsze naprzód zaćmienie słońca i księżyca i piszą to potem w kalendarzach; ale na rozwiązanie takich problematów, jak powyższy, nie porywał się nigdy — on, magister farmacyi, słynny z niezmiernie skutecznej maści na nagniotki, która była jego sekretem.

Uspokoiwszy się z tej strony — t. j. nie ze strony paralaksy słońca, jego zaćmień i maści na nagniotki, ale ze strony procentu rocznego od 8,000 złr., pan Sarafanowycz napisał list do swego wuja i wyłuszczył mu wszystko, cośmy już słyszeli na początku tego rozdziału. Za parę dni otrzymał list z adresem: *An Seine des Herrn Herrn Johann von Sa-*

rafanowycz, k. k. Bezirksadjunkten, Wohlgeboren, in Capowyci, *zu deutsch Zappowitz* — poczynając od słów: *Liebster Neffe!* w którym ksiądz Nabuchowycz pochwalał zamiary swego siostrzeńca, znajdował sumę 8,000 złr. nieco za szczupłą ze względu na znany stan majątkowy pana forsztehera i obiecywał uczynić *mein Möglichtes* w sprawie suplik małostawickich, „nachdem ohnehin diese Vorgänge nichts Anderes sind, als der Aufschrei der seit Jahrhunderten geknechteten, von den Polen unterjochten, von der k. k. *Regierung verlassenen, armen, unterdrückten ruthenisehen*". Nationalität. Pan adjunkt rozpłakał się nad temi słowami i wziął je za tekst do kazania, które miał do wójtów na najbliższym *Amtstag'u.*—Poczem w Małostawicach „die geknechtete Nationalität", pojmując w swój sposób historyczny sens tej mowy, ubiła leśniczego i raniła śmiertelnie gajowego; w Głęboczyskach wpadła do karczmy, wybiła Motia, Motiowę i bachory i wypiła wielki zapas wódki nietylko bezpłatnie, ale unosząc jeszcze z sobą gotówkę Motia — w Kataryńcach spasła końmi łan pszenicy dworskiej, a w Capówce... o czarna niewdzięczności nierozumnego tłumu!... zapuściła nierogaciznę w kartofle księdza parocha i pozwoliła sobie nawet poturbować osobę samego dobrodzieja, z powodu jakiegoś sporu o należytość za pogrzeb, a to pod pozorem, że „ksiondzy bidnyj, uhneczenyj narid tak zderajut, szczo wże hodi wytrymaty".

Z tej strony, list księdza Nabuchowycza miał tedy takie, niezbyt fortunne skutki. Co do Milci, nastręczył on jej mnóstwo sposobności do nalewania kawy i podawania bułek p. adjunktowi — bo odtąd

pan Sarafanowycz był prawie codziennym gościem u państwa forszteherów. Między jedną szklanką kawy a drugą, wzdychał zawsze bardzo głęboko i topił wzrok pełen niewysłowionej tęsknoty w oblicze Milci, która zwykle przy takich sposobnościach patrzyła w sufit, albo na piec, albo na co innego, nieubranego w ciemnozielony surdut i w kołnierzyk ze zbyt widocznemi tasiemkami. Wówczas pan Sarafanowycz, który od pewnego czasu pożyczył był od pani amtsdienerowej tom *Rozmaitości* z roku 1838 i czytał w nim bardzo pilnie, aby się dowiedzieć, jakto ludzie romansują — pan Sarafanowycz tedy, niezupełnie pozbawiony zapasu frazeologii, niezbędnego w jego położeniu, wzdychał jeszcze mocniej i mawiał:

— Ach, pani jesteś okrutną!

I miał słuszność. Kobiety umieją być okrutnemi czasem nawet dla tych mężczyzn, których nie kochają. Dla kochanków są niemi prawie zawsze, tak przynajmniej twierdzą niektórzy zdesperowani powieściopisarze. Milcia była okrutną, bo po takiem wywnętrzeniu się ze strony pana adjunkta, zrywała się zwykle i uciekała na ganek, albo do swego pokoju, aby się tam naśmiać aż do łez, bodaj czy nie z pana adjunkta. Psotnica, zaraz przy drugiej wizycie pana Sarafanowycza spostrzegła, jakie zamiary kryły się pod jego ciemno-zielonym surdutem. Był to pierwszy konkurent, który jej się trafiał. Panny mają niezwalczoną skłonność do wyszukiwania ujemnych i śmiesznych stron w osobie każdego mężczyzny, który im się prezentuje w charakterze

konkurenta — choćby był pięknym, jak Apollo, albo jak elegant z żurnalu (Apollo w XIX stulciu, nie wszędzie może uchodzić za piękność, ze względu na zbyt rażące podobieństwo swoje do świętego tureckiego), choćby był mądrym i dobrze ułożonym, i dobrze widzianym w świecie. Pan Johann von Sarafanowycz nie uszedł temu wspólnemu losowi całej jednej wielkiej części rodzaju męskiego — Milcia była dla niego okrutną, choć z grzeczności nie śmiała mu się w oczy.

Ale raz trudno już było wytrzymać. Przy kawie — cały romans pana Sarafanowycza toczył się przy kawie — Milcia spostrzegła dwie muchy, które przechadzały się po obrusie, dzióbały okruszyny cukru i bułek, i nakoniec spotkawszy się, ocierały się pyszczkami jedna o drugą, jak para kochanków, albo starych przyjaciół po długiem niewidzeniu. Nie wiem, czy kto z czytelników uważał już, że muchy mają ten zwyczaj; nie wiem, czy i jak go tłumaczy historya naturalna, i nie wiem, czy Milcia widziała co szczególnego w tej serdeczności owych dwóch skrzydlatych istot, czy z braku innego zajęcia przypatrywała się im tak pilnie — dość, że pan Sarafanowycz, który już był spożył z wielkim smakiem swoją szklankę słodkiej kawy i słodkim wzrokiem błagać się zdawał o drugą, uważał przez czas niejaki, że Milcia ma oczy zwrócone w jeden punkt, jak gdyby była zamyśloną. Wtem wypadła jej z ręki łyżeczka od kawy, którą nad szklanką trzymała i brzęk ten przerwał jej myśli, czy bezmyślność.

— Aaaa, przecie!—zawołał pan Sarafanowycz

z wyrazem, w którym malował się cały związek jego myśli i wniosków: Milcia upuściła łyżeczkę, więc musiała być zakochaną, a w kimżeby, jeżeli nie w takim fajns chłopcu, jak pan Sarafanowycz? Milcia i pani forszteherowa odgadły odrazu całe znaczenie tego wykrzyknika, spojrzały jedna na drugą i wybuchły konwulsyjnym śmiechem. Pan forszteher zdziwił się mocno i zapytał: *Was habt's ihr wieder zu lachen?* Pan Sarafanowycz wytrzeszczył oczy i otworzył usta na znak głębokiego zdziwienia, ale dotychczas jeszcze nie zrozumiał i nie zrozumie zapewne nigdy, czego się te panie wówczas tak śmiały. Pan forszteher, który mało uwagi zwracał na kobiety i z lingwistycznych względów nie lubił wdawać się z niemi w długie rozmowy, począł mówić o jakimś innym przedmiocie — o klęskach, doznanych niedawno przez c. k. armię z powodu owej mgły koło Chlumu — panie uspokoiły się i rzecz cała została bez dalszych następstw.

Ale wieczór, gdy matka znalazła się sam na sam z córką, nie obeszło się bez uwag nad tym wypadkiem i wogóle nad częstemi wizytami pana Sarafanowycza w ich domu. Zamiary jego były aż nadto widoczne, niemniej i to, że „ojciec" był przychylnie dla niego usposobionym. Pani Precliczkowa ucałowała Milcię w czoło, i powiedziała, że chybaby jej, Precliczkowej, z domu Hanserle, nie było na świecie, ażeby taka małpa miała wziąć jej dziecię. Mogła była dodać, że z pomiędzy dwóch, Sir James Skrzeczkowski jest przynajmniej porządniejszą i lepiej umytą małpą — ale lord kataryniecki w oczach

pani Precliczkowej wcale nie zasługiwał na taki przydomek.

Milcia tym razem była na seryo zamyśloną. Muchy spały już po ścianach, nie mogły tedy zajmować jej uwagi. Musiała tedy rozmowa z matką o panu Sarafanowyczu spowodować jej zamyślenie. Może to był dalszy ciąg tych rojeń sennych, przy których zastaliśmy ją, gdyśmy po raz pierwszy wprowadzili pana adjunkta do bawialnego pokoju państwa forszteherów? Pora była po temu — stróż nocny wywoływał właśnie dziesiątą godzinę, Capowice spały spokojnie i nie słychać było żadnego głosu, oprócz dalekiego szczekania psów i regularnego chodu wahadła u zegara ściennego. Wiatr szeleścił w lipach pod oknami i poruszał dziwacznie ich cienie, padające do pokoju wraz z jasnem światłem księżycowem. W gmachu becyrkowym można marzyć tak dobrze, jak w każdym innym, albo jak pod gołem niebem, jeżeli się jest usposobionym lub usposobioną do marzenia. Córka becyrksforsztehera, nawet becyrkforsztehera Precliczka, może marzyć tak dobrze i pięknie, jak księżniczki, szlachcianki, mieszczanki i proste wieśniaczki marzą — czasem w życiu, a w romansach zawsze.

Niema tedy żadnego powodu, dla któregoby Milcia nie miała była myśleć i marzyć. Marzy się nieraz, gdy już włos zbieleje i twarz się pomarszczy, tem lepiej i piękniej marzy się w dwudziestym roku życia. To, co się marzy, panowie poeci nazywają ideałami, a panowie filozofowie twierdzą, że tego niema wcale na świecie i że to nigdy a ni-

gdy nie da się pięcią zdrowemi zmysłami schwycić. Panowie filozofowie mylą się, wiem to z doświadczenia. Jestem człowiekiem niepoetycznym i pozbawionym twórczości, ale miałem także moje ideały, i — urzeczywistniły się prawie wszystkie. Nota bene, czerpałem je z książek, nie mogąc ich sam utworzyć. Za młodu, ideałem moim był świat dziewiczy Ameryki, podróż morska, lasy o niebotycznych drzewach, góry i skały nieprzebyte. Poszedłem do Kisielki, woziłem się czółnem, spocząłem w cieniu lipowej alei, wdrapałem się na górę Wysokiego Zamku — i wróciłem do miasta całkiem zadowolony. Fenimore Cooper, Washington, Irving, Sealsfield i Marryat był dla mnie urzeczywistniony. Teraz, na starość, wolę Dickensa i Dumasa tam, gdzie nie jest bardzo okropny. Czytam nap., z jakim smakiem Master Pickwik zajadał i zapijał różne dobre rzeczy, idę do Mańkowskiego i pokrzepiam się szklanką porteru, a p.p. filozofów wzywam na dysputę, czy to nie jest urzeczywistnienie ideału? Wszystko zależy od sposobu, w jaki zapatrujemy się na świat, na ludzi i na rzeczy.

Jeżeli tedy Milcia miała jaki ideał, to twierdzę, że był on do urzeczywistnienia, a blizka przyszłość okaże, iż się nie mylę. Na teraz, jako wierny historyk, zapisuję tylko, że musiała marzyć dość długo, bo zegar ścienny wybił już był dwunastą, kiedy obracając się na łóżeczku, zapytała:

— Czy mama śpi?

— Nie, moje serce.

— Proszę mamy...

— Co, moje serce?

— Prawda, że ten pan Schreyer jest wcale do rzeczy?

— A, a... ot, tak — odpowiedziała mama. I kolej myślenia byłaby przyszła na nią, gdyby była w tej chwili nie usnęła na powrót.

Z obawy, by kochanej czytelniczce nie wydarzyło się to samo, zostawiam do przyszłego rozdziału wyjaśnienie powodów, dla których pan Schreyer był wcale do rzeczy, co ten pan Schreyer robił w Capowicach, i jakim sposobem pojawia się jego nazwisko w siódmym rodziale tej powieści?

ROZDZIAŁ VIII,

nader pouczający dla młodych prawników i dla innej młodzieży płci obojga, a oraz zawierający początek końca tej powieści.

Popełniliśmy wielką niedyskrecyę, kochany czytelniku, w poprzednim rozdziale. Słuchaliśmy obydwaj pod drzwiami, i to o tak późnej porze! Dowiedzieliśmy się tajemnicy, o której nie wiedziała nawet pani asystentowa; tajemnicy, głęboko ukrytej w sercu panieńskiem. Bo juści, jeśli córka żąda od matki potwierdzenia, że ten lub ów mężczyzna jest „wcale do rzeczy", a to bezpośrednio po rozmowie o kadydaturze jakiego Sarafanowycza do jej ręki, to nawet rodzona matka musi powziąć to podej-

rzenie, które my powzięliśmy przy tej sposobności. Tak się też stało. Nazajutrz pani Precliczkowa poczęła wybadywać Milcię co do pochlebnego na każdy sposób zdania, jakie objawiła o panu Schreyerze. Nie mogę tu podać protokułu z tego pierwszego przesłuchania, albowiem zeznania, poczynione przez naszą bohaterkę, były dosyć ogólnikowe i małoznaczące — więcej już poszlak prawnych mogły stanowić zakłopotane spojrzenia i rumieńce, których jednak niepodobna było skonstatować protokularnie, ponieważ przesłuchanie odbywa się bez asesorów i świadków. Nie chcę ja przez to powiedzieć, by Milcia miała zamiar zataić cokolwiek przed matką — nie było lepszej córki na świecie, jak ona, i nawzajem dobra córka nie mogła mieć lepszej i bardziej wylanej matki, nad panią Precliczkowę. Ale jest pewne stadyum sercowych naszych okoliczności, w którem sami sobie nie umiemy zdać sprawy z naszych uczuć i wrażeń. Jest to pewnik, podany już w kilku tysiącach różnych romansów i powieści, ale nie zaszkodzi powtórzyć go w tem miejscu, bo ze względu już na prostą przyzwoitość, nie mogę przecież przedstawiać bohaterki mojej zakochanej odrazu po same uszy w młodzieńcu, którego szersza publiczność zna zaledwie z nazwiska. I to z jakiego nazwiska! Schreyer... *Qu'est-ce que c'est* Schreyer?

Pan Schreyer, c. k. aktuaryusz przy sądzie powiatowym w Capowicach, zawdzięczał to Sakramentowi Chrztu Świętego, że przynajmniej imię jego nie brzmiało tak nieeufonicznie, jak nazwisko. Nie nazywał się ani Symfroniusz, ani Pankracy, ani Bona-

wentura, ale Karol. Szanownym czytelnikom miło będzie przytem dowiedzieć się, że był to dosyć przystojny i dobrze „ułożony“ mężczyzna, mający około 30 lat wieku i powierzchowność, któraby się mogła była przydać porucznikowi lub rotmistrzowi lekkiej albo ciężkiej kawaleryi, i któraby aktorowi grywającemu role kochanków i bohaterów, przysporzyła była znaczne podwyższenie miesięcznej gaży. Ponieważ jednak pan minister sprawiedliwości nie kieruje się niestety względami, które mogą wpływać na dyrektora teatru w takich razach, więc pan Karol Schreyer pobierał tylko około 40 złr. miesięcznie — za sprawowanie sądownictwa w powiecie capowickim, pod kierownictwem pana Precliczka. Nie posiadał przytem tego talentu, za pomocą którego pan Johann von Sarafanowycz oszczędzał rocznie 1,500 złt. z ośmiuset. Budżet jego okazywał przeciwnie co roku niedobór, wynoszący prawie piątą część pensyi. Zdaniem pana Precliczka, był to jedyny dowód, że pan Schreyer jest c. k. urzędnikiem — zresztą, nie miał on ani jednej zalety, któraby zasługiwała na podniesienie w owych *Konduite-Listen*, prowadzonych przez szefa urzędu, z których apelacya i namiestnictwo czerpią wiarogodne informacye co do zdolności i zasług podrzędnych organów władzy. Był wprawdzie pilnym i znał służbę swoją tak dobrze, że pan Precliczek nie wahał się często zasięgnąć jego rady, ale gorliwość jego pod pewnym względem zostawiała wiele do życzenia i rubryka *Anmerkung* w listach jego konduity zawierała zawsze uwagę: *nicht verlässlich*, albo *bedenklich*. Przez sześciolet-

ni przeciąg służby, pan Schreyer nie odkrył ani jednego spisku, nie doniósł ani o jednym fakcie, któryby mógł posłużyć do wykrycia podziemnych nurtowań *der polnischen Umsturzpartei*, tak rozgałęzionej nap. w powiecie capowickim. Stary pan Papinkowski mógłby był stać w bezpośrednim związku z Garibaldim, pan Kuderkiewicz mógłby był organizować całe pułki powstańców w Głęboczyskach, a pan Schreyer — zdaniem pana forsztehera Precliczka — byłby się tego wcale nie domyślił. Wprawdzie pan Papinkowski oprócz przenocowania kilku zaburzycieli spokoju publicznego, nie miał innej nielojalności na swojem sumieniu; wprawdzie pan Kalasanty Capowicki uważał całe powstanie z roku 1863 tylko za rzecz, przedsięwziętą w celu wyduszenia pieniędzy od szlachty; a nawet pan Kuderkiewicz, najniebezpieczniejszy agitator w całym powiecie, należał do rzędu tych ludzi, co umieją „podporządkować wszystkie inne interesa“ interesom c. k. monarchii i tylko z powołaniem się na odnośne paragrafy c. k. konstytucyi wyznają głośno przy uroczystych okazyach, że są Polakami — ale to nic nie stanowiło, bo w tym kraju *revolutionäre Umtriebe* rosną same z siebie, jak trawa na łąkach, i nigdy nie można wiedzieć, czy najlojalniejszy napozór człowiek nie zasługuje właściwie na 20 lat fortecy, tak jak odwrotnie, nie można być pewnym, czy największy i najczerwieńszy radykał nie dostanie kiedy jakiego orderu. Gorliwy urzędnik powinien tedy być zawsze ostrożnym i czujnym, jak twierdził pan Precliczek, powinien wypełniać nietylko rozkazy władz

wyższych, ale odgadywać ich myśli i życzenia. Dlatego też, ponieważ pan Precliczek mniemał, że życzeniem władz wyższych jest trzymać całą *Umsturzpartei* w więzieniu śledczem, dostarczał ile możności jak najwięcej materyału do śledztw politycznych różnego rodzaju. Przy wyborach do sejmu, nie potrzebował on wskazówki z góry, by wiedzieć, że panuje tam życzenie, ażeby wybór z mniejszych posiadłości padł na ks. Nabuchowycza, i w tym duchu kierował prawyborami i nauczał wyborców. Pan Schreyer nie miał tego delikatnego instynktu. Potrzeba mu było wszystko rozkazać, powiedzieć wyraźnie, a i wtenczas jeszcze wywiązywał się jak najgorzej ze swojego zadania. Było nap., jak twierdził pan Precliczek. życzeniem *aben,* ażeby pisma sporne w procesach cywilnych, redagowane po polsku, zawierały zawsze mniej trafne dowody i wywody, niż pisma tego rodzaju, pisane w języku niemieckim. Pan Precliczek zastosowywał się do tego i było rzeczą bezprzykładną, ażeby strona, procesująca się po polsku, wygrała przeciw stronie, piszącej po niemiecku, jaką sprawę w sądzie capowickim. P. Schreyer nie mógł jakoś pojąć tego zwyczaju, i przedkładał panu Precliczkowi nieraz do podpisu referata i wyroki, przychylne dla stron, używających języka *der Umsturzpartei,* pisał polskie protokuły ze stronami i świadkami, a nawet raz poważył się napisać cały referat po polsku, wskutek czego pan Precliczek tak się zirytował, że jego kwasy w żołądku postawiły go w stanie oblężenia, t. j. nie puściły go przez cały tydzień z łóżka.

Przez ten czas Shreyer sądził, a p. Sarafanowycz rządził na własną rękę w powiecie capowickim, p. forszteher zaś nie czytając żadnych aktów, kładł na nich tylko ów znak hieroglificzny, stanowiący zwykle podpis każdego c. k. urzędnika, a w tym wypadku mający znaczyć: Precliczek. *Politicum* szło mimo to zwykłym trybem, ale w sądownictwie działy się *horrenda.* Pan Schreyer oddał wójta z Karpiówki do kryminału za to, że odmierzył około 100 plag nauczycielowi wiejskiemu z rozkazu księdza parocha, dozorcy szkolnego w Karpiówce. Księdzowa jejmość sprzedała była pewną ilość jakiejś legominy strączkowej p. Dudiowi w Capowicach, a jak wiadomo, wszelkie strączkowe nasiona muszą być łuszczone i robotę tę najlepiej uskuteczniają dzieci. Nauczyciel, jakiś „niedolaszek“, czy „perekińczyk“, nie chciał pozwolić, ażeby uczniowie i uczenice jego w szkole zajmowali się czem innem, jak tylko zgłoskowaniem i t. p. fraszkami, i strączki zostały odesłane jejmości z tą uwagą, że dzieci nie mają czasu. Należała się tedy, jak każdy przyzna, surowa admonicya nieposłusznemu pedagogowi i wymierzył mu ją wójt, który położył swojego czasu wielkie zasługi około znanej już czytelnikom konwersyi majątku gminnego na gotówkę, a później na szumówkę. Tego to zasłużonego człowieka nie wahał się pan Schreyer oddać sądowi obwodowemu pod pozorem nadużycia władzy i ciężkiego obrażenia ciała tak, że nieborak dopiero za trzy miesiące odzyskał wolność— „dla braku dowodów“.

Drugi wypadek, który odegra niejaką rolę

w dalszym ciągu tej powieści, posłuży za jaskrawszy jeszcze dowód, ile złego może narobić *so ein verfl.... Polack*, jak p. Precliczek nazywał pana Schreyera. W pewnej rodzinie wieśniaczej przyszło do sporu między zięciem i teściem. Spór przybrał nader żywe rozmiary, i w końcu zięć oświadczył publicznie, że zabije swego teścia. Na drugi dzień sąsiedzi, dosłyszawszy jakieś niezwykłe głosy w chacie, która była widownią tego dramatu familijnego, wpadli tam i zastali zięcia, rąbiącego siekierą — głowę swojego teścia. Ten ostatni, będąc dość słabowitej kompleksyi, nie mógł przeżyć zmartwienia, jakie mu sprawiło to niedelikatne obchodzenie się ze strony zięcia, Mykity, tembardziej, że nawet silniejszym mężczyznom, z małemi wyjątkami, byłoby nieco trudno obchodzić się całe życie bez głowy. Teoretycy, kryminaliści, upatrywaliby zapewne w powyższym wypadku zbrodnię rozmyślnego zabójstwa, ale p. forszteher, głęboki znawca natury ludzkiej i obyczajów prostego ludu, widział w tem tylko zwykłą scenę familijną, zwłaszcza, że i doktor Herz w swojem *visum et repertum* był tego zdania, iż nieboszczyk umarł poprostu na katar kiszkowy, połączony z chronicznym kaszlem i kongestyami krwi do głowy. Ponieważ atoli musi się stać zadość sprawiedliwości, więc pomimo próśb Mykity, który w tym celu długo konferował z Dudiem i z panem forszteherem, p. forszteher zakwalifikował jego czyn karygodny jako obrazę honoru, połączoną z dość ciężkiem obrażeniem ciała, i zreferowawszy sprawę w ten sposób, odesłał akta sądowi śledczemu w Kozłowicach. Tam

poleżały one parę miesięcy i nakoniec zwrócone zostały sądowi capowickiemu z tą uwagą, że sąd śledczy nie widzi w tej sprawie poszlak ciężkiego obrażenia ciała, a wyrokowanie co do obrazy honoru nieboszczyka Andrucha należy do kompetencyi sądu powiatowego. Na nieszczęście, pan Precliczek leżał w łóżku, i — *Stellen Sie sich vor*, mawiał później do pana Sarafanowycza — *dieser dumme Gelbschnabel, der Schreyer*, zrobił z tego wszystkiego wielką historyę i odesłał akta do apelacyi! Zrobił on to z powodu, iż nieboszczyk nie mógł oczywiście sam zeznać do protokułu, czy czuje się obrażonym, a inni świadkowie mówili coś o siekierze, o rąbaniu głowy i innych rzeczach, których nawet pewien znany kronikarz lwowski nie używa do popełniania obrazy honoru mężów, „stojących na straży godności“ i przedpłaty narodowej. Zjechała tedy komisya kryminalna, zrobiono drugą obdukcyę, uwięziono pana Mykitę, i pierwszym widomym rezultatem tego wszystkiego był ogromny „nos“ z apelacyi dla pana forsztehera. Dalszy przebieg procesu p. Mykity wykaże jeszcze dobitniej, jak dalece młodsze pokolenie prawników pozbawionem jest wszelkiego zmysłu praktycznego i jak niepotrzebnie pomnaża bezskuteczną piśeninę, narzekając ciągle na biurokratyczne nałogi starszych urzędników i na tak zwany „*Schlendrian.*“

Z tych kilku przykładów widzimy, że p. Karol Schreyer nie mógł cieszyć się względami pana Precliczka i że był to człowiek niespokojny i nie na swojem miejscu, jako c. k. aktuaryusz powiatowy.

Aber was wissen die Weiber! Człowiek tak srogi dla wójta z Karpiówki i dla p. Mykity, tak niedelikatny, że nie umiał odgadywać życzeń władz wyższych, i tak niemiły, że p. Precliczkowi na sam jego widok robiło się niedobrze, wydawał się Milci łagodnym, jak jagnię, przyjemnym, ujmującym nawet w obejściu. Człowiek tak ograniczony, że nie widział wulkanu rewolucyjnego, na którym stały Capowice wraz z okolicą, że proste, patryarchalne napomnienie brał za ciężkie obrażenie ciała, a obrazę honoru za morderstwo, wydawał się jej wykształconym! Otóż to są skutki czytywania pism rewolucyjnych, dzienników literackich i t. p. Dziewczyna nabija sobie głowę ideałami, błękitami, tęczami, gwiazdami, a potem lada czarny wąsik wydaje się jej tęczą, lada para oczu, gwiazdami, lada gładkie czoło widnokręgiem nieba — i ideał jej chodzi, rusza się, krząka, je polędwicę i tańczy mazura, jak gdyby nie składał się nigdy z czcionek, albo z ulotnych myśli, ale z ciała, kości i tużurka! Tak jest, niestety, na świecie, ale cóż robić — musimy przyjmować świat takim, jakim jest; przerobić go nie możemy.

Zdecydujemy się tedy już raz uważać to za fakt dokonany, że pan Karol był owem urzeczywistnieniem ideału Milci, o którem wspomniałem poprzednio. Jeżeli nie przyznała się z tem pani Precliczkowej, to pochodziło to stąd, że nierade przyznajecie się same sobie, moje panie i panny, iż jaki szczęśliwy śmiertelnik znalazł większą od drugich łaskę

w waszych oczach, póki tenże szczęśliwy, ale swego szczęścia nieznający wybraniec nie nacierpi się, nie namęczy i nie poprosi was mniej lub więcej uroczyście o te względy, któremiście go już tymczasem obdarzyły. Coby to za niespodzianki wydarzyły się na świecie, gdyby nagle wyemancypowano kobiety do tego stopnia, by każda mogła oświadczyć się mężczyźnie, nie czekając oświadczenia z jego strony! Prawda, że i teraz żadna ustawa tego nie zabrania, ale nie chcecie panie korzystać z tej wolności — przynajmniej mnie biednemu jeszcze żadna z was się nie oświadczyła. Ach, kobiety, kobiety!

Milcia rzadko widywała pana Karola. U państwa forszteherów nie bywał on wprawdzie nigdy, chyba *in stricte officiosis*, albo wtenczas, gdy pan Precliczek wyjechał na jaką komisyę, i obydwie panie, spotkawszy go na spacerze, pozwoliły mu odprowadzić się do domu. Z czasem stało się jakoś tak, że pan Karol dowiadywał się z przyjmnością o komisyjnych przejażdżkach p. Precliczka, i że nie potrzeba go było prosić, by zaglądnął do bawialnego pokoju państwa naczelnikostwa. Nastąpiło to mianowicie od czasu, jak pan Sarafanowycz tak często pijał tam kawę. Mama uważała że przy takich sposobnościach Milcia nie patrzyła na piec, ani na sufit, ani na ciemno-zielony surdut p. Sarafanowycza, ale tem częściej spoglądała — czy na krawatkę pana Schreyera, czy na jego wąsiki, albo oczy. Zapewne chciała się przekonać, czy doprawdy był tak podobnym do jakiegoś powstańca z roku 1864, któremu *die werthe Familie* p. Precliczka ułatwiła wyjście

z kozy i nakoniec wyjazd z Capowic przebierając go w czapkę ze złotą różą, i profanując w ten sposób oznakę urzędowej godności, służącą do nakrycia głowy samemu p. forszteherowi. Milcia rozmawiała przytem wiele z panem Karolem, śmiała się, żartowała, aż powoli, powoli, stawała się nieco więcej zamyśloną, i gdy wszyscy wstali od stołu, pani Precliczkowa bawiła zwykle pana Sarafanowycza rozmową... o cenie ziemiopłodów, wołowiny i innych potrzeb życia, a Milcia schodziła na dół do ogródka, gdzie pielęgnowała różne astry, lewkonie, gwoździki i rezedę. Pan Karol znał się na ogrodnictwie, jak Żegota Korab, towarzyszył tedy Milci w tych wycieczkach naokoło becyrkowego gmachu i dawał jej różne rady botaniczne. Raz zdarzyło się, że na grządce między balsaminami i innemi ozdobnemi roślinami wyrósł jakiś brzydki łopuch, i mimo codziennej prawie inspekcyi ze strony Milci i częstych superrewizyj p. aktuaryusza, rozwinął się i rozrósł bardzo potężnie. Pochodziło to zapewne stąd, że Milcia, gdy była sama w ogródku, miała wyłącznie i nieustannie do czynienia z wielkim słonecznikiem, który rósł koło okna od strony kancelaryi pana aktuaryusza, a gdy inspekcya odbywała się gremialnie, to inspektor patrzył więcej na inspektorkę, a ta na niego, niż oboje patrzyli na grządki. Ostatecznie jednak Milcia spostrzegła intruza o szerokim, kłapciastym liściu, i zawołała:

— Ach, co za szkaradny Sarafanowycz! Trzeba go wyrwać i wyrzucić natychmiast.

— Czy niema pani w swoim ogródku jakiego burzana, któryby się nazywał Schreyer?

— Jesteś pan złym naturalistą; to nie jest burzan, to rodzaj motylka...

Motylek, mający sześć stóp wysokości i wąsy, jak rotmistrz od huzarów! Ale jest to już taki zwyczaj u dziewcząt, że nazywają najgrubszych nawet i najcięższych z pomiędzy nas motylkami, by nam dać sposobność do założenia protestu przeciw temu porównaniu. To też pan Karol protestował bardzo usilnie i prosił o zaliczenie go do mniej niestałych istot. Zapewniono go, że to nastąpi, jeżeli istota w mowie będąca okaże się tego godną. Istota w mowie będąca miała czarne oczy, które obiecywały wypełnienie tego warunku w jej imieniu. Klasyfikator roślin i motylków zapłonił się mocno, spuścił swoje piwne oczy na dół i był mocno zakłopotany. Poczem p. Karol ujął drobniutką rączkę, która mocno drżała, i pocałował ją raz i drugi, nim ją właścicielka wycofała. Następnie, połączonemi siłami, wyrwano szkaradnego Sarafanowycza z korzeniem i wyrzucono go za sztachety. Ale prawdziwy Sarafanowycz siedział ciągle jeszcze w bawialnym pokoju, i narzekał przed panią forszteherową, iż przy teraźniejszej drożyźnie, jego pensya nie wystarcza mu na utrzymanie. Gdy Milcia i Karol wrócili, pan adjunkt zastanawiał się właśnie nad tym opłakanym faktem, że kwarta ziemniaków zawiera czasem zaledwie cztery indywidua rodzaju kartoflanego, a kosztuje 4 centy. Pan Schreyer nadmienił, że braha jest daleko tańszą. Milcia powie-

działa coś o względnej taniości osypki. Pani forszteherowa była w ambarasie, ale pan adjunkt przyjął owe uwagi z westchnieniem i bez gniewu, powiedział tylko raz jeszcze:—Ach, pani jesteś okrutną!— i gdy już było późno, obydwaj panowie ucałowali rączki paniom i poszli do domu.

ROZDZIAŁ IX.

„Duchowi jego dała w twarz — i poszła."

Żałuję niezmiernie, że nieszczęśliwy zbieg okoliczności nie dozwolił mi przystępu do archiwów c. k. namiestnictwa, w których znajduje się niejedno, coby mogło mi pomódz do wyświecenia mniej jasnych punktów niniejszej powieści. I tak nie umiem nap. wytłumaczyć, jakim sposobem, wkrótce po owej korespondencyi p. Sarafanowycza z księdzem Nabuchowyczem, sprawa suplik małostawickich, pisanych ręką p. Precliczka, zadrzemała jakoś tak szczęśliwie, jak drzemią wszystkie inne sprawy publiczne w tem wiecznie drzemiącem królestwie Galicyi i we wszystkich jego *partibus adnexis*. Jako dziejopis powiatu capowickiego, wiem tylko, że ksiądz Nabuchowycz jeździł w owym czasie do Lwowa i wróciwszy, napisał do swego siostrzeńca list, którego treść uspokoiła mocno p. Precliczka. Mniej spokojnym czuł się p. Sarafanowycz, bo na zapytanie, czy może już teraz otrzymać rękę Milci i czy pan Precliczek wypłaci mu posag w gotówce, czy w obligacyach — otrzymał odpowiedź wymijającą, że Milcia nie miała jeszcze czasu poznać go bliżej.

Tymczasem opinia publiczna w Capowicach zaalarmowaną była niezmiernie z powodu różnych rzeczy, które miały się dziać u „forszteherów.“ Powtarzano sobie na ucho w całej parafii, ale nie tak cicho, by i sąsiednie parafie o tem nie wiedziały, że pan aktuaryusz Schreyer bywa teraz bardzo często u p.p. Precliczków. Pani kasyerowa nie mogła pojąć, jak pani forszteherowa mogła pozwalać na to, by Milcia rozmawiała tak często z p. Karolem, będąc już jak gdyby po słowie z p. Sarafanowyczem. Kasia pani Precliczkowej opowiadała Maryśce p. kontrolerowej, że jej panna rozmawia zawsze coś, jak „z książki“ z p. Schreyerem, że chodzi z nim po ogródku, że szepcą sobie coś pocichu — jednem słowem, było widocznem, że p. Sarafanowycz jest najnieszczęśliwszym z kochanków, i panny kasyerówny przewidując przyszłość, wróżyły mu także, że będzie najnieszczęśliwszym z mężów. Wszystkie te panie przejęte były świętą zgrozą, i litowały się, to nad p. Precliczkiem i panią Precliczkową, że im Bóg dał tak lekkomyślną córkę, to nad Milcią, że ma rodziców, nieumiejących prowadzić dziecka. Chrześcijańska miłość bliźniego w tym rodzaju daje się zresztą napotykać w większych nierównie miastach, niż Capowice, i jest zawsze bardzo chwalebną, bo świadczy o gorliwem troszczeniu się o cudze dobro. Ma to jednak tę niedogodność, że zacni i kochani sąsiedzi z obawy, ażebyśmy nie zbłądzili, tak dokładnie śledzą każdą nastręczającą nam się sposobność do robienia złego, że najczęściej zła sława wyprzedza każdy nasz błąd, zamiast następować po nim. I tak,

w tym wypadku, nim kto jeszcze poznał pannę Emilię, to już na dwie mile przed Capowicami dowiadywał się, że nieroztropna ta młoda osoba ma aż dwóch kochanków, że kompromituje się, że jest lekkomyślną i t. d.

Pan Sarafanowycz, który zawsze o tej samej porze odwiedzał przedmiot swoich zapałów, co pan Schreyer, byłby się może nie domyślił, że ma współzawodnika, gdyby nie ta troskliwość sąsiadów. Pan amtsdiener Schwalbenschweif, wiedząc o wszystkiem od swojej żony, opowiedział mu to pewnego razu, gdy jechali obydwaj na komisyę, w celu schwytania jenerała Mierosławskiego, który miał się ukrywać w pasiece u Sir Jamesa Skrzeczkowskiego, przebrany za piętnastoletnią dziewczynę. Pan adjunkt zamyślił się mocno nad tą okolicznością, że ma współzawodnika w miłości. Wskutek tego jenerał Mierosławski uszedł jeszcze tym razem, i w pasiece katarynieckiej znaleziono tylko małego chłopca, który pasał gęsi. Tego przywieziono do Capowic i indagowano bardzo ściśle, dostał nawet od p. Sarafanowycza kilka szturchańców z powodu, że nie chciał się przyznać, ani że sam jest jenerałem Mierosławskim, ani że tego ostatniego widział i ułatwił mu ucieczkę. Śledztwo spełzło na niczem, i polecono tylko gminie katarynieckiej, by na przyszłość chwytała wszystkich ludzi z jasnym zarostem na twarzy i wszystkie piętnastoletnie dziewczęta, a związawszy, odstawiała do becyrku. Wskutek tego pewnego pięknego poranku Sir James Skrzeczkowski, zaopatrzony od natury bardzo pięknemi blond bakenbardami, i p. Ksa-

wery Papinkowski, jego samowtór, przytrzymani zostali na gruncie kataryniecki i odstawieni do urzędu powiatowego pod bardzą silną eskortą, ale puszczono ich nazajutrz, skonstatowawszy identyczność ich osób.

Pan adjunkt bił się z myślami, co począć? Radził się dyurnisty Pióreckiego, czy nie powinienby wytoczyć śledztwa dyscyplinarnego przeciw aktuaryuszowi, ale Piórecki był tego zdania, że c. k. przepisy, jakkolwiek doskonałe i wszechstronne, nie mieszczą w sobie żadnego paragrafu, któryby się dał zastosować do tej okoliczności. Jest tam wprawdzie mowa o uszanowaniu, jakie każdy podwładny, nawet po za biórem, winien swemu przełożonemu, ale wskutek pośpiechu zapewne, pracodawna zapomniał dodać, że aktuaryuszowi nie wolno się kochać w tej samej pannie, w której kocha się adjunkt. Wskutek tego opłakanego braku w przepisach, p. Sarafanowycz, po dłuższej naradzie z Pióreckim, przyszedł do przekonania, że nie zostaje mu nic, jak tylko oświadczyć się pannie, wziąć od niej słowo i prosić potem rodziców o błogosławieństwo.

Piórecki okazał się człowiekiem tak dobrym do rady, że p. adjunkt zasięgnął jeszcze jego zdania co do formalnej strony tak ważnego aktu, jak oświadczyny. Pierwszym warunkiem powodzenia, zdaniem Pióreckiego, był frak. Nikt się jeszcze nie ożenił bez fraka. P. Sarafanowycz nie miał wprawdzie nic podobnego w swojej garderobie, ale nieoceniony Piórecki przypomniał mu, że pocztmistrz jest w posiadaniu ślubnego swego fraka, wcale jesz-

cze przyzwoitego, bo jak potwierdzała p. Schwalbenschweifowa, p. pocztmistrz ożenił się niedawno, w r. 1847. Co się tyczyło innych formalności, jak nap. odpowiedniego przemówienia i t. p., Piórecki nie wątpił, że p. adjunkt wywiąże się z nich jak najlepiej, ale pan Sarafanowycz prosił go mimo to, by mu napisał „koncept", wierszem albo prozą, „bo to człowiek czasem w stanowczej chwili może zapomnąć języka w gębie". Piórecki uskutecznił to według życzenia, a p. Sarafanowycz zabrał się natychmiast do memorowania jego konceptu, który uznał za wyborny. Tego dnia rano, kiedy miały odbyć się oświadczyny, Piórecki był u pana adjunkta i trzymając papier z „konceptem" w ręku, słuchał jego gorącej przemowy, wskazując mu, w którem miejscu należało uklęknąć, przycisnąć rękę do serca i t. d.

Był to dzień wielki dla całych Capowic, gdy p. Johann v. Sarafanowycz pojawił się w mieście we fraku, w popielatych urzędowych inekspresybiliach, w białych łosiowych rękawiczkach świeżo wypranych i w czapeczce z orzełkiem, włożonej trochę na bakier, ze względu na wyjątkową okazyę. Wiedziano o tem naprzód i we wszystkich oknach było pełno ludzi. Na ulicy żydzi, żydówki i żydzięta patrzały z wielką ciekawością na ten majestatyczny widok, który przedstawiał się ich oczom. Cała zgraja dzieci biegła za panem adjunktem, w przyzwoitem oczywiście oddaleniu, bo nie miał on łagodnego charakteru i dzieci bały go się gorzej, niż samgo pana profesora. Mniej uszanowania okazywały kundysy i inne zwierzęta tego rodzaju; zdziwione niezwykłym kostyumem,

szczekały i goniły za połami fraka, nieco przydługiemi, bo pocztmistrz słuszniejszy był o głowę od p. Sarafanowycza, a w roku 1847 noszono bardzo długie szosy u fraków. Wskutek tego ślubny kostyum p. pocztmistrza znalazł się w niebezpieczeństwie, ale p. adjunkt spotkał na szczęście zwierzchnika gminy capowickiej, pana Mateusza Bryndzę, i oświadczył mu, że każe żandarmeryi wszystkie psy wystrzelać, poczem p. Mateusz, uzbrojony w swoją wójtowską laskę, szedł w tylnej straży za reprezentantem przełożonej nad Capowicami władzy i odpędzał od niej czworonożnych malkontentów. Nakoniec pan adjunkt, przebywszy dziedziniec i wszedłszy na schody, znalazł się w bawialnym pokoju państwa forszteherów, gdzie nie zastał nikogo. Czekając pojawienia się Milci, powtarzał sobie „koncept“ pana Piórecki-ego półgłosem, stojąc przed serwantką i gestykulując bardzo żywo. Milci nie było widać. P. adjunkt czekał bardzo długo, wtem otworzyły się drzwi i z pewnem biciem serca miał już zacząć wygłaszać swoją oracyę, gdy ujrzał, że to była tylko Kasia. Powiedział jej, ażeby poprosiła pannę forszteherównę, bo ma do niej pilny interes. Kasia wróciła z zawiadomieniem, że panna nie może przyjść, bo smaży komplimentury (konfitury?). — Ale powiedz, że mam interes bardzo pilny—rzekł pan adjunkt.—Kasia poszła mówić, i upłynął kwadrans, podczas którego Milcia prosiła matkę, by poszła przyjąć p. adjunkta, a p. Precliczkowa tłumaczyła jej, że musi koniecznie sama odbyć ceremonię, na którą się zanosi. Milcia płakała trochę i ocierała jeszcze fartuszkiem łzy,

gdy wchodziła nakoniec do bawialnego pokoju, gdzie zaraz po jej pojawieniu się, p. Johann v. Sarafanowycz jął recytować tym tonem, jakim niegdyś czytywaliśmy w Buczaczu: *Conticuere omnes, intentique ora tenebant, inde toro pater Aeneas* i t. d. i t. d. — jął recytować następujące słowa:

— Drogi aniele!

Tu pan Johann v. Sarafanowycz zaciął się i zapomniał, co miał powiedzieć drogiemu aniołowi. Nastąpiła mała przerwa, podczas której p. Sarafanowycz wyjął koncept Pióreckiego z kieszeni, rozłożył go i począł czytać. Ale na nieszczęście, zamiast dalszego ciągu mowy, stało tam: *Protokoll aufgenommen den* i t. d., koncept pisany był bowiem na odwrotnej stronie jakiegoś starego aktu urzędowego, a p. adjunkt w pomieszaniu swojem nie wiedział, że potrzebuje tylko odwrócić papier, by się dowiedzieć, co ma mówić dalej, i myślał, że przez pomyłkę wyjął inny rękopis z kieszeni. Powtarzając tedy raz jeszcze: Drogi aniele!—rzucił ów protokół na ziemię, począł szukać po wszystkich kieszeniach za nieszczęśliwym konceptem — ale daremnie.

— Czem mogę służyć p. adjunktowi? — zapytała nareszcie Milcia.

— Drogi aniele! Ot, ot... miałem tu...—i znowu p. adjunkt zaczął szukać we fraku, w kamizelce i w inekspresybiliach za zgubionym konceptem.

— Czy p. adjunkt może co zgubił?

— Nie, nie, ja tylko chciałem powiedzieć pani, to jest, — ja miałem... ja miałem właściwie... to

jest, właściwie ja przyszedłem zapytać się pani, czy pani chce iść za mnie? Ale zaraz...

I znowu zaczęły się poszukiwania za zgubionym konceptem. W tej chwili Milcia spostrzegła papier, porzucony przez pana adjunkta na ziemię i dojrzała na nim owe słowa: Drogi aniele! — W jednej chwili domyśliła się reszty, i wybuchając pustym śmiechem, wybiegła z pokoju. P. adjunkt stał chwilę nieco zakłopotany, zobaczył nakoniec, że miał koncept w ręku a nie mógł go znaleźć, i przeczytawszy go naprędce raz jeszcze, rzucił się w pogoń za Milcią przez kurytarz do kuchni. Ale tam smażenie konfitur zajmowało wszystkie umysły i ręce, Kasia podparła drzwi tak, że pan Sarafanowycz nie mógł się przecisnąć i straciwszy znowu koncept i kontenans, zawołał tylko:

— No, panno Emilio, jakże będzie z nami?

— Z nami? Nic nie będzie...

— Jakto, więc pani mnie nie chce?

Milcia była już w tej chwili w sypialnym pokoju, przytykającym do kuchni i nie słyszała tego ostatniego zapytania. Natomiast stara Maryna, matka Kasi, usługująca także przy kuchni, odchyliła drzwi i zapytała:

— Pannunciu, pan hadjunkt pytajutsia, cy ich ne choczete?

— Skażit mu, szczo ne choczu — odpowiedziała jej Milcia.

— Ałe deż, pannunciu, ne znaty szczo! Takij fajnyj czełowik!

— Ot mamuniu, — ozwała się Kasia, — mały-

byśte rozum! Koły pannuncia ne chtiet, to szczo wam do toho?

Kasia należała widocznie do stronnictwa Schreyera.

Pan adjunkt stał przez cały czas tej rozmowy na progu, napół przywarty drzwiami kuchennemi. Przyszło mu nareszcie do głowy, że całe to zajście kompromituje mocno jego powagę, wyszedł tedy, zamykając drzwi za sobą, i udał się wprost do biura p. forsztehera.

Pan Precliczek był znowu teraz w kwaśnym bardzo humorze. Sprawa suplik małostawickich odżyła napowrót, z powodu zabicia leśniczego i poranienia gajowego. Rzecz sama przez się nie byłaby miała żadnego znaczenia, gdyby nie nauczyciel, którego pan Kuderkiewicz w Głęboczyskach trzymał do swoich dzieci, i który miał zły nałóg pisywania korespondencyj do *Gazety Narodowej*. Niebezpieczne to indywiduum próbował p. Precliczek już kilka razy *abschaffen*, t. j. wyprowadzić szupasem z powiatu, ale miało paszport i było nader zuchwałe wskutek stosunków swoich ze *szrajbpolakami*. Indywiduum to, z powodu ostatnich zajść w Małostawicach, wywlokło znowu w gazecie sprawę owych suplik, złożoną już *ad acta* w namiestnictwie. Polecono wprawdzie c. k. prokuratoryi, ażeby wytoczyła proces redakcyi i autorowi tych niecnych napaści na capowicki urząd powiatowy, ale potrzeba było przecież coś zrobić już z temi małostawickiemi kwestyami serwitutowemi, i zawezwano powtórnie p. forsztehera, by się tłumaczył i to *binnen acht Tagen bei sonstiger* i t. d.

Powiadają, że nieszczęścia chodzą zawsze parami, nigdy jedno nie przyjdzie bez drugiego. To też do odegrzanej kwestyi małostawickiej, przybyła p. Precliczkowi jeszcze druga. Oto szanowny p. Mykita, który niedawno, dzięki interwencyi p. Schreyera, dostał się był do więzienia obwodowego, udał się do prezesa sądu z prośbą o uwolnienie, motywując tę prośbę tem, że już się wykupił od kary, bo zapłacił 100 złr. p. forszteherowi, a sędziemu śledczemu, w Kozłowicach złożył dwa korce pszenicy, jako dowód swojej niewinności. Pan Precliczek miał już ze trzydzieści 'podobnych spraw na swoich barkach, odkąd urzędował w Capowicach, i wychodził z nich zawsze bardzo szczęśliwie, ale teraz nastały już gorsze czasy i było trochę niebezpiecznem dla najlojalniejszego urzędnika być zawikłanym w procesa tego rodzaju.

P. Precliczek potrzebował tedy więcej niż kiedykolwiek pomocy ks. Nabuchowycza, który, nawiasowo mówiąc, był obroną i ucieczką wielu innych podobnie prześladowanych urzędników na wiele mil wokoło. Pojawienie się p. adjunkta było mu pożądanem, wywnętrzył się przed nim z boleści, jaką mu sprawiało tak niezasłużone prześladowanie. Tym razem p. Sarafanowycz miał także boleść na swojem sercu i w gorzkich bardzo wyrazach opowiedział szefowi swemu przyjęcie, jakiego doznał od Milci. P. Precliczek rozumiał tę rzecz tak, że Milcia, nie mając instrukcyi od ojca, nie chciała przyrzekać niczego p. Sarafanowyczowi, i zapewnił tego ostatniego, iż może być spokojnym — bo on, Precliczek, użyje

swego wpływu, *und da wird das Mädel gleich anders pfeifen.* Pan Sarafanowycz był bardzo uradowany z tej obietnicy i pewny jej skutku, przyrzekł ze swej strony wszelką pomoc ks. Nabuchowycza co do sprawy małostawickiej i procesu p. Mykity. Stanęło tedy przymierze zaczepno-odporne, wznowione i wzmocnione między p. Precliczkiem i p. Sarafanowyczem, przy której to sposobności, jako przy drugim terminie sądowym, udało się p. adjunktowi wylicytować z 8 na 10,000 złr. posagu. Pan Precliczek zaś obiecał niezwłocznie pomówić z Milcią.

ROZDZIAŁ X,

w którym p. Precliczek, zgubiwszy trop „der Umsturzpartei," natrafia na inny, bardzo niebezpieczny spisek, i widzi się spowodowanym zarządzić z tego powodu stan oblężenia, połączony z odpowiedniem bombardowaniem.

Był to jeden z tych pięknych dni letnich, które wydarzają się nawet w Capowicach raz albo dwa razy do roku, i w których słońce wysusza częściowo ulice i place, wystawione na działanie jego promieni. Nawet teraz, kiedy już mamy autonomię gminną i powiatową, jeszcze słońce ciągle z grzeczności wykonywa tę pracę, bez udziału zwierzchności i wydziałów, marszałków i burmistrzów. Jest ono jedynym naszym autonomicznym organem drogowym, który czasem pełni swoją powinność. Ale mniejsza o to, kto wysuszył sadzoną topolami ulicę, prowadzącą od becyrku do dworu capowickiego, dość, że tą ulicą, po ukończeniu godzin kanclaryjnych, puścił się na przechadzkę pan forszteher, ażeby przygoto-

wać swoje „kwasy żołądkowe“ na przyjęcie rosołu, sztuki mięsa (z chrzanem lub bez chrzanu) i innych posiłków, które przygotowywały się w kuchni, gdzie Milcia smażyła konfitury. Dla ludności miasta Capowic ta przechadzka pana forsztehera była pożądaną sposobnością do składania dowodów lojalnego usposobienia w formie jak najgłębszych ukłonów przed najwyższym reprezentantem władzy. P. Precliczek, który był słusznego wzrostu i bardzo szczupły, szedł z głową mocno do góry zadartą, i założywszy ręce w tył, nadawał niemi rodzaj wahadłowego ruchu potężnej, trzcinowej lasce. Mniej lojalny spostrzegacz byłby może porównał spiczastą twarz pana Precliczka do fizyognomii gończaka, który zgubiwszy na ziemi trop zająca, szuka go w powietrzu i kiwa ogonem, dla objawienia trapiącej go wewnątrz niepewności. Porównanie to byłoby może tem trafniejsze, że pan Precliczek w istocie zgubił był trop w owych czasach — było to w sierpniu r. 1866 — i nie wiedział, gdzie się podziała owa *Umsturzpartei*, której wyśledzenie było głównem zadaniem jego urzędowej działalności. Gdyby pan Precliczek czytywał był co więcej, oprócz rozporządzeń, wydawanych przez prezydyum c. k. namiestnictwa i urzędowej, naówczas jeszcze wychodzącej *Lemberger Zeitung*, byłby może wiedział, że *Umsturzpartei* robiła właśnie plany odbudowania Polski za pomocą przemienienia Austryi w federacyę słowiańską i byłby spał spokojnie. Ale nie wiedział o tem, i nie mógł pojąć, dlaczego nap. onegdaj, na imieninach u p. Kuderkiewicza, pierwszego radykała w powiecie, drugi radykał, pan Bzi-

kowski, powstawszy przy stole z pełnym kielichem węgrzyna w dłoni, przemówił w następujące słowa:

— Panowie! W miastach objawiają uczucia lojalne publicznemi demonstracyami, fakelcugami i adresami, ale my szlachta, choć nie robimy demonstracyj, tem mocniejsze w głębi serca żywimy przywiązanie do tronu i do monarchii. Dlatego też tutaj, w prywatnem, domowem, rodzinnem kółku, gdzie wszystko mówi się i robi od serca, po staropolsku, a nie dla oka ludzkiego, wznoszę toast: Niech żyje nasz Najjaśniejszy, Najmiłościwszy Pan, niech żyje nasz cesarz i król, Franciszek Józef Pierwszy!

I stuknęły kielichy, i dwudziestu pięciu właścicieli tabularnych z powiatu capowickiego powtórzyło z głębi serca i płuc okrzyk: Niech żyje! — i każdy z nich płakał, jak bóbr, oprócz p. Jakuba Bykowskiego, który płakał, jak dwa bobry—od serca i po staropolsku. Pan forszteher, zawiadomiony przez tajną policyę powiatową o tym wypadku, nie mógł go na żaden sposób zrozumieć, był zupełnie zbity z tropu. Szedł ulicą topolową i wietrzył w powietrzu za ową *Umsturzpartei*, która znikła już z ziemi. Wtem nadszedł pan Kalasanty Capowicki z księdzem Zającem, obydwaj mocno zajęci rozmową o bieżących kwestyach politycznych. Mianowicie zaś zwierzał się pan Capowicki księdzu proboszczowi, że jego zdaniem Napoleon „musi koniecznie coś zrobić.“ Jest to formułka, którą pocieszamy się wszyscy na wsi, odkąd Napoleon Napoleonem. Tymczasem on, jak zaklęty, przesiaduje to w Saint-Cloud, to w Tuilleryach, to

w Compiègne — i nic a nic nie robi. Ale p. Capowicki był przekonany, że na wiosnę koniecznie coś stać się musi; ks. Zając zaś nadmienił, że dobrzeby było, ażeby szanowny kolator kazał jeszcze przed zimą naprawić parkan naokoło plebanii — wskutek czego znowu pan Kalasanty Capowicki zrobił uwagę, że my właściwie jesteśmy teraz jak u Pana Boga za piecem, bo oprócz Napoleona, także i Austrya musi koniecznie „coś zrobić“ dla nas. Ksiądz Zając wyraził głębokie przekonanie, że tak jest w istocie, i że my nic robić nie potrzebujemy, bo wszystkie roboty byłyby szaleństwem — jednakowoż przydałaby się nowa stodoła na folwarku, należącym do probostwa, zwłaszcza, że kosztorys zrobiony już jest od kilku lat przez urzędowego inżyniera i czeka tylko na potwierdzenie którejś tam instancyi. Poczem pan Capowicki nie mógł utaić nadziei, że instancye będą teraz o wiele względniejsze dla nas, ponieważ jeżeli nie książę Napoleon, to z pewnością który z arcyksiążąt austryjackich, albo królewicz saski będzie królem polskim. I już miano rozpisywać elekcyę, albo pytać dyplomacyi europejskiej o zdanie co do tego trudnego punktu, gdy spostrzeżono pana forsztehera. Elekcya została odroczoną na później, i po wzajemnem przywitaniu, rozmowa weszła na praktyczniejszą drogę, albowiem pan Precliczek starał się wyrozumić ze słów p. Capowickiego, co knowa właściwie *die Umsturzpartei*, a ten ze swej strony radby był zasięgnąć języka, jakie też są szanse rozłożenia zaległości podatkowych na czteroletnią spłatę w kwartalnych ratach? Rozmowa ta przeciągnęła

się dość długo, i waza dość dawno stała na stole, gdy pan Precliczek wrócił do domu i zastał obydwie swoje panie z oczyma mocno zapłakanemi.

Zostawiliśmy Milcię mocno rozweseloną zgubionym konceptem p. Sarafanowycza, winienem przeto zdać sprawę z przyczyn tej zmiany sytuacyi. Nie piszę dla efektu i nie zależy mi bynajmniej na tem, by ciekawość czytelnika utrzymywać w ciągłem natężeniu od rozdziału do rozdziału — a to już z tego powodu, że wykluczyłem zupełnie fantazyę od wpływu na utworzenie niniejszego wiekopomnego dzieła i przedsięwziąłem sobie spisać historyę niektórych ciekawszych wydarzeń w powiecie capowickim w porządku zupełnie kronikarskim, wiernym i chronologicznym, bez żadnego dodatku z mojej strony. Czynię to w interesie potomności. Za trzysta lat, z dzisiejszych powieści dowiedzą się badacze literatury starożytnej, jak sobie nasi poeci urządzali świat i serca ludzkie, jak wiele w XIX wieku było różnych sposobów zakochania się i zamążpójścia lub ożenienia, jak często bogaci jeździli do Ems i do Karlsbadu, a ubodzy zazdrościli im tego — ale tylko z książki pod tytułem: *Wielki świat Capowic*, będzie mógł przyszły Szajnocha lub Lelewel zasięgnąć informacyi, jak doskonale rządzonym, sądzonym i urządzonym był powiat capowicki za panowania pana Precliczka, w dwóch pierwszych decemniach drugiej połowy tego stulecia. Byłoby więc karygodną lekkomyślnością, gdybym do tak wiarygodnego zresztą opowiadania chciał jeszcze robić jakieś własne dodatki, zwłaszcza, że z postępem czasu, fantazya będzie za-

pewne wydawać nierównie bujniejsze płody, niż te, na które możemy się zdobyć dzisiaj. I w oczach naszych literatura z prostego rękodzieła przemienia się szybko w przemysł fabryczny. Już dziś jeździ ona „Omnibusem“ niezadługo pędzona będzie parą, powstaną przedsiębiorstwa akcyjne, które spekulować będą na mózg tego i owego pisarza, jak dziś spekulują na źródła nafty, albo na kopalnie miedzi, albo... na cierpliwość tych, którzy płacą podatki.

Proszę mi nie brać za złe tej małej dygresyi, choć zupa pana Precliczka stygnie tymczasem i Milcia radaby, ażeby już było po obiedzie, bo chce pójść wypłakać się w swoim pokoiku. Zaraz po odejściu p. Sarafanowycza, odbyła ona radę wojenną z matką i wyznała jej szczerze, że oprócz jakiegoś nieprzezwyciężonego wstrętu do osoby p. adjunkta, czuje jeszcze inne moralne zapory, któreby jej nie pozwoliły nigdy zostać panią Sarafanowyczową — choćby tak „ojciec“ kazał. I tak, od czasu owej przechadzki po ogródku, Karol obiecał jej nietylko, że nie będzie motylkiem, ale obiecał nawet, zaklął się i zaprzysiągł solennie, że będzie jej wiernym do zgonu i t. d. Nie powtarzam tu całej litanii różnych takich zapewnień, bo najprzód powtarzały się one w rzeczywistości bardzo często, a potem wszystkie zaklęcia, gorące westchnienia, cierpienia i nadzieje kochanków, które dotychczas jeszcze nie były po tysiąc razy przynajmniej opisane, zachowuję sobie do innych powieści, gdzie łaskawi czytelnicy będą musieli marzyć, wzdychać i płakać wraz ze mną od początku do końca. Na dziś uwalniam ich od tego obo-

wiązku i dodam jedynie, że Milcia wysłuchawszy każdym razem i nauczywszy się na pamięć wszystkich słów Karola, poczyniła była ze swej strony podobniuteńkie obietnice, i że pan Karol pamiętał je także bardzo dobrze, a nawet tak dobrze, że czasem mało nie zapisał ich do protokołu, zamiast ustnej repliki lub zeznań jakiego świadka.

Dla c. k. aktuaryusza, zamkniętego przez sześć godzin dziennie między fascykułami za stołem, na którym leżały materyały do nowych fascykułów, było to prawdziwą rozkoszą przechowywać w swej pamięci, oprócz takich ważnych rzeczy, jak: *der k. k. oberste Gerichtshof hat aus Anlass eines speciellen Falles* i t. d., jeszcze i przychylne wyroki, wyrzeczone czy wyszeptane w szczęśliwej chwili przez piękne różane usteczka. Panowie prawnicy zdziwią się może, ale tak jest w istocie: są na prowincyi aktuaryusze sądowi, którzy kochają się tak, jak ludzie kochali się za dawnych, dobrych czasów, a nawet — robią wiersze. Było w albumie Milci kilka utworów muzy pana Schreyera, i nawzajem, p. Schreyer posiadał parę skromnych rymowanych wyznań i westchnień, skreślonych drobnem, kobiecem pismem, a natchnionych zapewne o wieczornej porze wonią rezedy w doniczkach i igraniem wiatru w rozłożystych konarach, lipy, ocieniającej okno sypialni. Jakim cudem Opatrzność, czuwająca nad redaktorami, raczyła zachować *Dziennik Literacki* od tych wszystkich pierwiosnków talentu poetycznego, tego nie umiem powiedzieć — równie jak nie jestem pewny, czy ta sama, dobroczynna opieka rozciągnęła się także na

Nowiny albo na *Kalinę*. Dosyć, że zaszły westchnienia, wyznania, przysięgi, rymy i inne okoliczności, równie obciążające w tej sprawie, i że Milcia oświadczyła mamie, iż pójdzie za Karola, lub umrze. Matki biorą podobne oświadczenia więcej na seryo, niż inni słuchacze, i pani Precliczkowa przystała odrazu na to, że umrze wraz z Milcią, albo ją ujrzy szczęśliwą. I oto pierwszy powód do łez, o których jużeśmy mówili. Dalej, należało się zastanowić nad tem, że pan Precliczek miał także głos w tej sprawie; że nie lubił pana Schreyera, a protegował widocznie p. Sarafanowycza. Oto i drugi powód do płaczu.

Pan Precliczek nie lubił irytować się przed samym obiadem; była to nawet może jeszcze jedna z charakterystycznych różnic między naturą p. forsztehera a zwyczajami polskiemi, że uważał za rzecz zupełnie niestosowną gniewać się, kiedy był głodnym. Nie wiem, czy przyczyn tej różnicy w zwyczajach należy szukać w odmienności temperamentu, właściwego rasie germańskiej a słowiańskiej, czy w tej okoliczności, że u Niemców upływa zwykle daleko mniej czasu niż u nas między nakrywaniem do stołu a połknięciem pierwszej łyżki rosołu lub barszczu. Jeżeli mi piękne czytelniczki pozwolą objawić moje osobiste zdanie co do tego punktu, powiem otwarcie, że przysłowiu: „Polak gdy głodny, to zły,“ winne one same. Oto, kochane moje rodaczki, których poeta niemiecki dlatego tylko nie chciał nazwać „aniołami ziemi,“ bo twierdził, że aniołowie są „Polkami nieba“ — kochane tedy, anielskie rodaczki mo-

je, jesteście stokroć piękniejszemi, więcej czarującemi i rozumniejszemi, niż Niemki, tańczycie lepiej, rozmawiacie dowcipniej, macie częściej białe i do cudownych perełek podobne ząbki, niż one, kochacie ojczyznę waszą goręcej, a mężów waszych czasem prawie tak samo, jak Niemki swoich — ale w gospodarstwie domowem, a osobliwie już stołowem, niewiasty teutońskiego pochodzenia celują przed wami. Prawda, że trzymacie lepiej w karbach mężów waszych, ale trzymacie ich czasem zanadto. Mianowicie daje się nam to czuć w uroczystej chwili siadania do stołu. Opowiedziano już gdzieś, z jakiemi to ceremoniami, po nakryciu stoła obrusem, i kiedy jegomość zagląda ciągle, czy nie przyniesiono jeszcze wazy, w odstępach półgodzinnych przynoszą najprzód karafkę z wodą, potem sól, potem pieprz, potem cukier tłuczony i t. d. Nic dziwnego, że mężulek, najlepiej udyscyplinowany, przy flaszce z wodą zaczyna się rzucać, na widok soli zrzędzi już, jak gdyby był sam w domu, a w pół godziny potem, gdy służący z należytem namaszczeniem wnosi miseczkę z tłuczonym cukrem zamiast oczekiwanej wazy, jegomość buntuje się i zaczyna burmistrzować między służbą, targa chłopca kredensowego za uszy, grozi kucharzowi utratą miejsca i t. d. W tej półtoragodzinnej przerwie, nawet Zosia z *Pana Tadeusza*, albo Księżniczka ze *Srebrnego snu Salomei*, nie zdołałaby żadnego męża w Polsce, na Litwie i Rusi utrzymać pod pantoflem. Stąd przysłowie powyższe, u Niemców nieznane. Ci wygodni panowie z uderzeniem pewnej godziny siadają do stołu, zastają

wszystko przygotowane i nie mają czasu się gniewać. P. Precliczek nie gniewał się tedy, usiadł, obwiązał szyję serwetą i począł pożywać dary Boże, odkładając na później, jeżeli co miał do powiedzenia — jak gdyby przewidywał: że to może popsuć mu apetyt. Obiad doszedł już był do swojego punktu kulminacyjnego, t. j. do cielęcej pieczeni z sałatą, kiedy pan Precliczek, czując się napół pożywionym, rzucił oczyma wkoło i spostrzegł, że Milcia siedzi zapłakana przed próżnym talerzem, a matka wpatruje się w nią z wyrazem żywego współczucia.

— *Was hast den, Milchen?*—zapytał pan Precliczek.

— Nic, boli mię trochę głowa — odpowiedziała *Milchen.*

— *Na, 's wird sich schon machen* — zawyrokował naczelnik urzędu powiatowego, i zajadając z wielkim smakiem doskonałą cielęcinę, między jednym kąskiem a drugim, jął wykładać napół po niemiecku, a napół po czesku, że pan adjunkt Sarafanowycz jest *ein sehr anständiger Mensch, der es noch sehr weit bringen wird;* że ma wuja, który go niebawem wyforytuje na sekretarza ministeryalnego, skąd niedaleka droga do konsyliarstwa, i kto wie dokąd, — że pan Sarafanowycz oświadczył mu swoje zamiary względem Milci, i że on, Precliczek, uważa za stosowne, by Milcia nazajutrz, *hübsch angezogen,* udała się z nim do kancelaryi parafialnej księdza Zająca, gdzie sporządzony będzie protokuł, w celu jak najrychlejszego ogłoszenia zapowiedzi.

Milcia zbladła mocno na te słowa ojca, a we-

dług wszelkich prawideł sztuki dramatycznej i powieściopisarskiej powinnaby była zemdleć. Żadna jeszcze bohaterka nie miała słuszniejszego powodu do zemdlenia. Milcia nie korzystała atoli z przysługującego jej prawa, i po chwili zarumieniła się znowu mocno, i jeszcze raz zbladła. Ta gra kolorów na jej pięknej i zazwyczaj tak łagodnej twarzy, była odbiciem najrozmaitszych uczuć, jakie mogła i musiała wywołać przemowa p. Precliczka. Przestrach na myśl, że może za trzy tygodnie zostać panią Sarafanowyczową, i oburzenie, że ojciec mógł rozporządzać jej osobą w ten sposób, jakby jakim sprzętem domowym; skrupuł, czy oburzenie to nie jest zbyt wielkiem przekroczeniem czwartego przykazania: wszystko to naraz musiało wywołać niemałą walkę w sercu, którego głównym lokatorem był znany nam już pobieżnie p. Karol. W końcu, siląc się na spokój zewnętrzny, rzekła cicho ale stanowczo:

— Ja nie chcę iść za p. Sarafanowycza, niech sobie szuka innej żony.

— *Wa-a-s?* — zawołał p. Precliczek i zatrzymując widelec w sałacie, po którą właśnie sięgał, wytrzeszczył oczy na swoją córkę.

— Mówię, że nie pójdę za tego obrzydłego, głupiego i złośliwego sknerę, co obdziera biednych ludzi w całym powiecie, jak jego wuj w swojej parafii. Nie chcę być ani sekretarzową, ani konsyliarzową. Jak pan Sarafanowycz będzie ministrem, niech się ożeni z kasą cesarską, jeżeli nie będzie jeszcze próżna do tego czasu, albo niech rozpisze konkurs na żonę dla siebie...

— *Wa-a-a-a-as?* — krzyknął pan Precliczek tym głosem, na który drżało trzydziestu ośmiu wójtów przy każdym *amtstagu*. I obracając się do pani Precliczkowej, dodał: — *Was spricht sie?*

— Ja ojcu tego nie potrafię powiedzieć po szw.... po niemiecku — powiedziała Milcia — ale powiem wyraźnie po polsku: ja nie chcę pana Sarafanowycza.

— *Kreutzhimmeldonnerwettersakermentkrucifixnochamal!*—wrzasnął p. forszteher, zrywając się od stołu. I powtórzył raz jeszcze tę formułkę, dodając znowu dla większego nacisku:—*Noch a mal! Was* po polski? *Was* ne kce?

— Pana Sarafanowycza nie chcę — powtórzyła Milcia spokojnie, wstając za przykładem matki.

I obydwie kobiety, przeczuwając burzę, instynktowo zbliżyły się do drzwi.

— *Kreutzhimmel* i t. d. — zaintonował znowu o pół tonu wyżej pan Precliczek, i jak gdyby go własny krzyk zagrzewał jeszcze bardziej do gniewu, schwycił pulpit od nut z fortepianu i rzucił go na stół między talerze, tłukąc ulubioną swoją szklankę, z której pijał piwo. Widok tej szkody dodał oliwy do ognia. — *Warts nur, ich werd euch, Kreuzhimmel* i t. d., — i za pulpitem poleciał gipsowy biust Goetego, tym razem nie na stół, ale na ścianę, gdzie stłukł przypadkiem portret N. Pana, wiszący naprzeciw Tadeusza Kościuszki, którego umieściła była oddawna Milcia w bawialnym pokoju, i który był tolerowanym jak Orzeł Biały na byłym cekhauzie miejskim przy ulicy Nowej we Lwowie. Nigdy jeszcze Goete

nie stał się narzędziem tak nielojalnego, choć nierozmyślnego czynu. Pan Precliczek biegał po pokoju, jak gdyby stracił zmysły, i wszystko, co tylko mogło być rzuconem, latało i padało w różnych kierunkach: w okna, w ściany, w piec, w drzwi i na ziemię. Po chwili pokój bawialny pana naczelnika wyglądał jak Lwów w roku 1848, po podobnej zabawce jenerała Hammersteina — a pan Precliczek biegał jeszcze ciągle i krzyczał. Nareszcie wpadła mu pod ręce pluwaczka, która ostała się była w kąciku: chwycił ją oburącz i cisnął z impetem w drzwi, prowadzące na korytarz, właśnie w tej chwili, kiedy pani asystentowa wchodziła niemi, w celu złożenia swego uszanowania pani Precliczkowej. Ta ostatnia wraz z córką oddawna już opuściła była plac boju. Pani asystentowa, cała zasypana piaskiem, cofnęła się pospiesznie i pobiegła na miasto, opowiadając wszędzie, że straszne rzeczy dzieją się u „forszteherów". Nim jeszcze pan Precliczek się wyszumiał, dość znaczna liczba publiczności płci obojga kręciła się naokoło gmachu becyrkowego, by usłyszeć, co się tam dzieje i jak to się skończy? Ale chociaż bombardowanie bawialnego pokoju dla braku amunicyi musiało być wkrótce zawieszone, piorunujący głos pana Precliczka nie uspokoił się tak prędko. Nastała tylko jedna mała chwila przerwy, podczas której pan Precliczek uchylił drzwi od przyległego pokoju i zawołał: *Mutter!*—Był to apel, na który jawić się musiała każdym razem p. Precliczkowa. Gdy nadeszła, pan forszteher oświadczył jej jeszcze raz kategorycznie, że protokuł na probostwie musi być jutro spi-

sany; że należy kupić tyle i tyle płótna, materyi różnego rodzaju i t. p. i natychmiast rozpocząć szycie wyprawy; że jutro po spisaniu protokułu, ksiądz Zając i pan Sarafanowycz będą proszeni na obiad, i że w razie niedopełnienia tych rozkazów, pan forszteher rozwinie swoją urzędową, małżeńską i ojcowską władzę, *dass gleich das Donnerwetter dreinschlagt.* Następnie, zdaje się, pani Precliczkowa ośmieliła się zrobić niejakie przedstawienie, bo za chwilę pan Precliczek podniósł znowu głos i odpowiedział na te uwagi tak siarczystą filipiką, jak trzy lata później pan Giskra na wywody Zyblikiewicza w sprawie rezolucyi galicyjskiej. Żałuję, że kultura niemiecka nie zrobiła jeszcze takich postępów między moimi czytelnikami, bym się mógł ośmielić podać im całą mowę pana Precliczka w dosłownem, oryginalnem brzmieniu, a w przekładzie straciłaby ona wiele na swojej sile i charakterystyczności! Ograniczę się tedy na przytoczeniu treści, według której „dziewczynie przewrócić się musiało w głowie, wskutek zażyłości pani Precliczkowej z rodzinami różnych politycznie podejrzanych mieszkańców powiatu". *Ja, Du und diese verfl..... polnischen Bücher seid's an Allem schuld.* Rozkazał tedy Wny naczelnik powiatowy, by wszystkie książki, druki i pisma polskie, znajdujące się w domu, zniesione były natychmiast do jego kancelaryi, i wyraził przekonanie, że to wytępi odrazu ducha oporu i niesforności w jego córce. Pamiętał on, że tak postępowały zawsze wszystkie racyonalne rządy, i że mądrość polityczna nakazuje dla przywrócenia porządku i bez-

pieczeństwa publicznego, przedewszystkiem zarządzić powszechne rozbrojenie. Zaraz więc tego samego wieczora, Mickiewicz, Pol, Słowacki, Korzeniowski, wraz z *Dziennikiem Literackim*, *Kuźnią* z r. 1862 i innemi pismami poetycznej lub satyrycznej treści, przenieśli się na tymczasowy przymusowy pobyt do prezydyalnego biura c. k. urzędu powiatowego w Capowicach, a z całej literatury polskiej nie zostało Milci nic, jak tylko owe rymy, popełnione przez c. k. aktuarysza tego samego powiatu. Prawda, że rymy te w tej chwili miały więcej wartości, niż cały zbiór Brockhausa, i że wycałowane, zroszone łzami, przespały się pod poduszeczką, na której Milcia złożyła bezsenną swoją główkę, przekonywując się od czasu do czasu, czy te skarby poezyi na skrzydłach swoich końcówek nie uleciały przypadkiem tam, dokąd ulatuje, niestety, zbyt często to, co kochamy i pieścimy w najświętszym zakątku naszej myśli. Ale końcówki były zbyt mocno przytwierdzone do tych ośmiu lub jedenastu zgłosek, które były ich powodem lub koniecznym wynikiem, i poezye pana Karola rano znalazły się znowu pod poduszką, a stamtąd przeniosły się przy wstawaniu z łóżka w najbliższe sąsiedztwo serca naszej bohaterki. Z tego widzimy, że nawet przy zarządzonym stanie oblężenia i po najściślej przeprowadzonem powszechnem rozbrojeniu, każda *Umsturzpartei* umie zawsze jeszcze zachować jakąś broń w swojem posiadaniu, i że w interesie spokoju, porządku i bezpieczeństwa publicznego, jak najściślejsze rewizye są niezbędnie potrzebne.

ROZDZIAŁ XI,

traktujący o przedmiocie z filozofii moralnej, tudzież o kwestyi posagu panny Emilii i o różnych „amtshandlungach“ pana Precliczka.

Pod pewnemi warunkami, stosunek dzieci do rodziców może się stać tak drażliwym, że najsurowszy moralista nie byłby w stanie orzec ze zwykłą stanowczością, co należy czynić a czego zaniechać względem ojca lub matki.

Otóż wypaliłem moralno-filozoficzną tyradę, której celu sprytny czytelnik łatwo się domyśli. Ściągnąłem może na siebie gniew najznakomitszego publicysty polskiego, a w ślad za nim anatema z ust cnotliwego felietonisty *Czasu* i bogobojnego hrabi Benjaminka — a wszystko to w rycerskim zamiarze wytłumacznia mojej bohaterki, dlaczego nie ukorzyła się przed podwójnym majestatem pana Precliczka: jako swego ojca i jako naczelnika powiatowego. Według uczonych wywodów o sztuce i poezyi, które miałem przyjemność czytać przeszłego roku w pewnem piśmie polskiem, każda figura malowana, rzeźbiona lub — drukowana, powinna być ideałem dobrym albo złym. Każdy ideał d o b r y powinien być oczywiście zlepkiem doskonałości wszelkiego rodzaju, t. j. powinien mieć oprócz odpowiedniego wzrostu, nienagannego greckiego profilu i wszelkiej symetryi zewnętrznej, także symetryę wewnętrzną, i zawierać w stosownej ilości miłość dla Boga, dla bliźnich, dla ojca, dla matki, dla pięk-

nych krajobrazów, dla świetnych skutków glicerynowego mydła i dla nieprzysmalonych kotletów.

Tymczasem bohaterce mojej zbywało na jednym z tych warunków, t. j. na bezwarunkowej miłości dla pana Precliczka, który był jej rodzicielem i jej bezpośrednio przełożoną polityczną władzą.

Kochała go zapewne, ale nie mógł on w niej budzić tej świętobliwej grozy, jaką zwykle ojciec budzi w dzieciach, właściciel dziennika we współpracownikach, minister w praktykantach konceptowych, albo delegatach galicyjskich, książę w lwowskich demokratach narodowych, wielki pudel w małych mopsach i t. d.

Pan Precliczek mimo złotego swego kołnierza ze srebrną gwiazdą, był dla Milci bardzo zwykłym śmiertelnikiem, którego pani Precliczkowa nazywała często głupim Szwabem — i który żywił nieubłaganą nienawiść ku wszystkiemu, co Milcia nauczyła się kochać i uwielbiać. Pan Precliczek nie mylił się, że *die verfl..... polnischen Bücher* były winne wszystkiemu.

Dzięki tym drukowanym okropnościom rewolucyjnym, stronnictwo przewrotu wzmogło się pod samym bokiem pana forsztehera gorzej, niż w całym powiecie. Stan oblężenia zarządzony był zapóźno i nie wydał lepszych owoców, niż stan wyjątkowy, za pomocą którego pan Giskra chce przekonać prażan o dobrodziejstwach konstytucyi grudniowej.

Nazajutrz po owem bombardowaniu, którego ofiarą między innemi padła także pani asystentowa, Milcia wstała w usposobieniu jeszcze bardziej opozy-

cyjnem, niż to, które wywołało już raz gniew pana forsztehera. Pani Precliczkowa była w rozpaczy: między posłuszeństwem, winnem mężowi, a miłością macierzyńską, miotały nią najsprzeczniejsze uczucia. To przedkładała Milci, że bądźcobądź, ojca słuchać potrzeba, to znowu narzekała, co się temu głupiemu Szwabowi uroiło w głowie. Rezultat tego dualizmu nie mógł być korzystnym dla p. Sarafanowycza, bo Milcia coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że żadne przykazanie Boskie, ani ludzkie nie może ją zmusić, by została panią adjunktową.

Około godziny 10-tej pan Schreyer, porzuciwszy na chwilę swoje biurko, wbiegł do bawialnego pokoju, gdzie uprzątnięto już ile możności ślady wczorajszego zniszczenia, powstawiano szyby i t. d. Całe Capowice wiedziały już o powodach katastrofy, która nastręczyła tyle zarobku miejscowemu szklarzowi. Pan Karol wiedział o nich także. Pierwszym impulsem jego po otrzymaniu tej wieści była niepospolita ochota połamania kości panu Sarafanowyczowi, i muszę wyznać, że jedynie brak sposobności przeszkodził temu, by powieść niniejsza nie miała nader tragicznego końca. A coby to był za specyał dla dzienników wiedeńskich! Aktuaryusz, który z zazdrości ubił adjunkta, a potem rozprawa sądowa, w dodatku jeszcze może kierowana przez p. radcę M.....! Artykuł w *Słowie*, przedstawiający w jaskrawych barwach nowe posiagatielstwo Lachów na narodnost' naszą, całe tomy korespondencyj w *Moskowskich Wiedomostiach* i w *Gołosie!* Ale pan Sarafanowycz, jakkolwiek nie był *ein offener Kopf*,

zrozumiał, że w interesie „narodnosty“ powinien osobę jednego z najdzielniejszych jej „borytełej“ trzymać w przyzwoitem oddaleniu od pięści takiego Lacha, jak pan Schreyer, a nawet tego dnia przybył do kancelaryi w mundurze i ze szpadą, oraz z panem woźnym Schwalbenschweifem u boku. Tymczasem pan Karol ochłonął z pierwszego gniewu i całą zemstę swoją wywarł na panu Precliczku, któremu posłał do podpisu aż trzy cytacye, stylizowane po polsku, a gdy dyurnista, pan Newełyczko, wrócił z temi dokumentami i z żądaniem pana forsztehera, by były wystawione w języku urzędowym, p. Schreyer zakreślił czerwonym ołówkiem ustęp w rozporządzeniu ministeryalnem, nakazujący używania języka krajowego ze stronami, i posłał go p. forszteherowi do przeczytania. Pan Precliczek był niezmiernie oburzony i zawezwał pana Karola do swego biura, aby mu uciąć reprymendę: *Wie unterstehen Sie sich* i t. d. — i właśnie po drodze do prezydyalnego sanctissimum, pan Karol zaglądnął do bawialnego pokoju. Milcia siedziała przy fortepianie, i mimo, a może z p o w o d u zarządzonego w całym domu stanu oblężenia i konfiskaty wszelkich utworów muzy polskiej, przygrywała i śpiewała po cichu:

Za Niemen! hen — precz!
Koń gotów i zbroja: i t. d.

Z wejściem p. Karola śpiew ustał. Niektórzy powieściopisarze mają ten szkaradny zwyczaj, że bez

najmniejszej dyskrecyi opisują wszystko, co się mówi lub robi przy sposobności *tête-à-tête*, jakie nastąpiło w tej chwili. Nie chcę iść za ich złym przykładem, i przypuszczać obojętnych widzów do tajemnic sercowych mojej bohaterki więcej, aniżeli tego wymaga całość niniejszej historyi. Zresztą nie byłem wówczas w pokoju i nie mogę wiedzieć, co mówiono. Później dopiero pani Precliczkowa opowiadała mi, że wszedłszy zastała Milcię znowu mocno zapłakaną, a pana Karola w stanie, graniczącym z rozpaczą. Zapewne tedy kochankowie, rozpatrzywszy się w swojem położeniu, znaleźli je nader nieszczęśliwem, i przyrzekli sobie wytrwać lub zginąć razem. Uważałem, że ludzie najchętniej myślą i mówią o śmierci, gdy napotykają na przeszkody w miłości. Czasem umierają nawet naprawdę, odbierają sobie życie lub dostają melancholii — i to wszystko dzieje się w XIX stuleciu, wobec tego olbrzymiego postępu cywilizacyi, który sprawia, że człowiek staje się nieczułym dla wszystkiego, co nie jest zyskiem lub stratą na dyferencyi kursów anglo-austryackiego banku, lombardów i innych papierów. Ogromnie wiele mamy jeszcze niewykorzenionych przesądów, mimo wszelkiej chluby, jaką szukamy w tem, że urodziliśmy się o trzydzieści lat później niż nasi ojcowie, a o sto lat później od naszych prapradziadów!

Pani Precliczkowa usiłowała nadaremnie uspokoić Milcię i znaleść jaki sposób wyjścia z trudnego tego położenia. Milcia przestała płakać i oświadczyła, że będzie towarzyszyć ojcu w wizycie u księ-

dza Zająca, ale zapytała Karola, czy prawa pozwalają zmuszać córkę do pójścia zamąż mimo jej woli? Karol odparł, że w zasadzie ustawy cywilne w monarchii austryackiej opiekują się dziećmi więcej, niż prawa innych krajów, ale w praktyce rzecz ma się cokolwiek inaczej. I jął wskazywać przykładami, że w samym powiecie capowickim zawiera się co roku bardzo wielka liczba małżeństw między włościanami w ten sposób, że pannę młodą albo pana młodego, za pomocą przymusu fizycznego, ciągną przed ołtarz i kopulują, nie zważając na to, czy mówi tak, lub nie, podczas ceremonii matrymonialnej. Pan Karol zdawał się przypuszczać, że to, co pod okiem pana Precliczka mogło wydarzyć się innym poddanym i poddankom Jego c. k. ap. Mości, mogło także spotkać córkę pana forsztehera, albowiem dzieją się w Rzeszy Rakuskiej rzeczy, o których się nawet Konfucyuszowi nie śniło. Wtem dał się z niedalekiej kancelaryi prezydyalnej słyszeć głos pana forsztehera:

— Nefeliczko! *Zum Teufel noch amal!*—a pan aktuaryusz przypomniawszy sobie, że jest wezwanym do swego szefa, pośpieszył teraz stawić się w jego biurze.

Nie liczę ja bardzo na sentymalne usposobienie szanownej mojej publiczności, bo i skądby się ono brało w tych czasach? Uczucie wyszło zupełnie z mody, wydawcy nie chcą kupować wierszy, a poeci już nawet *gratis* słuchaczów znaleźć nie mogą. Sam uciekłem onegdaj pewnemu bratu mojemu w Apolinie, który nie chcąc brać Bajrona od An-

glików, ani Szyllera od Niemców, pisze jednego i drugiego oryginalnie po polsku. Chciał mi czytać jakiś nowy swój utwór, pełen czułości i szlachetnych uniesień, ale wymknąłem mu się pod pozorem, że mam pisać książkę dla trzeźwych i praktycznych ludzi, i unikam rozmyślnie wszelkich wrażeń sercowych, by się nie udzieliły mojemu dziełu. Ale pomimo tego, w dzisiejszych czasach nietylko niekrzywdzącego, lecz owszem pochlebnego przypuszczenia co do umysłowego kierunku znacznej części moich czytelników, śmiem jednakowoż upraszać ich o trochę sympatyi dla mego bohatera, pana Karola, który czując jeszcze w dłoni swej ciepły uścisk kochanej dłoni, i z piersią, ściśnioną napół rozkosznemi a napół bolesnemi wrażeniami, zmuszony jest jawić się w biurze swojego szefa, ces. król. naczelnika powiatowego w Capowicach, Wencla Preclitschka. Przynajmniej jaki młody ochotnik „jednoroczny", marzący błogo o pięknej jasno-włosej panience, którą widział z okna swoich koszar, albo o partyi bilardu, którą mógłby grać, gdyby był teraz w kawiarni, albo o chlebie z powidłami, któryby dostał na podwieczorek od mamy, gdyby się znajdował przy niej, albo o innym równie ponętnym przedmiocie — a zbudzony ze swoich marzeń wołaniem pana „führera": *„Rukować do befelu!"*—znajdzie pewnie w młodzieńczym swoim zapasie jedną łzę współczucia dla niemiłej sytuacyi, jaką kreślę w tej chwili.

Pan Precliczek, oprócz surduta ze złotym kołnierzem, przywdział był najściślejszą swoją urzędową minę, i na widok Karola powstał, rozkraczając

nogi szeroko, jak gdyby dla nadania szerszej podstawy dalszym swoim operacyom. Głowę miał nieco pochyloną na piersi i powieki przymrużone, bo ukrywające się pod niemi gromy chował na sam ostatek akcyi. Tak z jedną ręką, założoną za klapę surduta, o drugą opartą na całym stosie aktów, leżących na stole, oczekiwał swego nieszczęsnego subalterna. Za stołem, oparty na nim obydwoma rękami, i kołysząc się to wprzód, to wtył, stał pan Johann v. Sarafanowycz, cały uśmiechnięty, z owemi dwoma żółtemi zębami, sterczącemi z pod żółtawych wąsów. Po lewicy pana Precliczka znajdował się dyurnista, pan Newełyczko, który miał wzrost grenadyerski, twarz okrągłą, czerwoną i źle ogoloną, a z ubioru i miny podobny był jak dwie krople wody do dyaka z Capowej Woli, do pisarza gminnego z Małostawic i do wielu innych indywiduów tej kategoryi.

— *Lieber Freund* — zaczął pan Precliczek z owym spokojem, w którym koncentrował się czasem cały jego *Amtseifer*, nim przyszło do silniejszego wybuchu. — *Lieber Freund...*

I tu rozpoczął długą dysertacyę na temat, że kilkakrotnie już napominał pana Schreyera, jako *ein Subaltern - Beamter* winien jest słuchać i szanować swego szefa, jako cytowanie, interpretowanie i zastosowywanie przepisów do takiego *Subaltern*'a nie należy, jako on, *der Amtsvorstand* wie najlepiej, *was zwischen den Zeilen zu lesen steht, und was der Wunsch der hohen Regierung ist und es sein kann.* Po tym wstępie pan

Precliczek przystąpił do obecnego wypadku, podniósł głowę, unicestwił pana aktuaryusza piorunującem spojrzeniem i krzyknął:

— *Wie haben Sie sich unterstanden* i t. d. — Tu nastąpiło skonstatowanie opowiedzianego powyżej faktu z rozporządzeniem ministeryum o używaniu języka krajowego, przyczem pan Newełyczko bił rodzaj pokłonów na znak potakiwania, a pan Sarafanowycz kołysał się jeszcze lepiej, z miną jeszcze bardziej rozpromienioną.

Pan Schreyer odpowiedział spokojnie, że rozporządzenie ministeryalne nakazuje używać języka, którego sobie życzą strony, że p. Precliczek mógł o tem zapomnieć, i że obowiązkiem jego, jako aktuaryusza, było przypomnieć to swojemu szefowi.

— *Herr Bezirksaktuar, Sie sind ein Esel!*

— *Herr Bezirksvorsteher, Sie sind* — odpowiedział Karol, niestety, więcej zagrzany gniewem, niż przystało na obecne, utylitarne czasy — *Herr Bezirksvorsteher, Sie sind ein Schuft!*

Uważałem to od tego czasu za wielkie szczęście, że pan Schreyer (który się pisze zawsze przez *Sch)* nie był nigdy posłem w Sejmie, a tem mniej delegatem do Rady Państwa. Gdyby taki gorączka, taki *Ur-Polack,* jak Schreyer, wszedł w oficyalną styczność z ministrami, popsułby wszystko swoją popędliwością i nie mielibyśmy ani udziału we franko-austryackim banku, ani koncesyjek na kilka innych banków, ani nawet ta nędzna sprawa gorzelniana w Złoczowskiem, gdzie chodziło o kontrabandę, wynoszącą kilkaset złr., nie byłaby wzięła tak ła-

godnego obrotu. Pan Schreyer gotówby był samej wewnętrznej przedlitawskiej Ekscelencyi powiedzieć jaką niegrzeczność w żywe oczy, zamiast pójść do niej na podwieczorek. Jest to już takie nieszczęście z tymi *Ur-Polack*'ami; szczęście, że ich nie posyłają do Wiednia.

Powtarzałbym się, gdybym opisywał wrażenie powyższej repliki na panu naczelniku powiatowym. — *Ich werde Sie ganz einfach suspendiren und auf Ihre Entlassung antragen* — oświadczył on panu aktuaryuszowi, i przystąpił natychmiast do tego *amtshandlungu*.

Dla uspokojenia łaskawych czytelniczek, zrobię tu uwagę, że „suspendowanie" urzędnika, jakkolwiek niesfornego, odbywa się zazwyczaj bez pomocy sznurka lub innego podobnego przyrządu, i składa się poprostu z protokułu i innych niemniej ważnych aktów, które następnie, wraz z odnośnym *Berichtem*, odsyłają się do władzy przełożonej — podczas, gdy istota suspendowana przez czas trwania procesu, zamiast zwykłej swojej pensyi, pobiera tylko „alimentacyę" w kwocie kilku lub kilkunastu centów dziennie. Każdy bezstronny przyzna, że przy teraźniejszej drożyźnie, nie można wymagać od żadnego bohatera powieści, by się utrzymał przyzwoicie za tę kwotę. Już więc z tego względu położenie pana Karola było od tej chwili dosyć smutne.

Musimy go jednak zostawić na czas jakiś sam na sam z jego miłością, rozpaczą i alimentacyą, i zająć się dalszym losem naszej bohaterki.

Skończywszy swój *Amtshandlung*, pan Precli-

czek przywdział urzędową czapeczkę i poszedł przekonać się, czy Milcia gotowa ze swoją tualetą, by mu towarzyszyła do ks. Zająca.

Była, niestety, gotowa...

Nastręcza mi się tu znowu doskonała sposobność do małej dygresyi autorskiej, której sobie nie mogę darować. Oto, gdybym pisał tę powieść na efekt do felietonu jakigo (†††!) dziennika, urwałbym rozdział XI w tem miejscu i zostawiłbym ciekawość czytelnika na torturach do jutra, w XII opowiedziałbym dopiero, o ile Milcia gotową była zapisać się według ustanowień konkordatu na żonę p. Sarafanowycza. Ale precz z temi pokusami *à la Ponson du Terrail;* niech rozdział będzie dłuższy, a czytelnik niech się dowie odrazu o wszystkiem!

Miała tedy Milcia wszelką gotowość zewnętrzną: jedwabną czarną suknię, takiż kaftanik i kapelusik, popielate rękawiczki i słońcochron, tudzież chusteczkę od płaczu w kieszeni. Pani Precliczkowa, na polecenie p. Precliczka, wydobyła z komody jej metrykę i świadectwo zaszczepionej ospy, ucałowała ją, zanosząc się od płaczu, i za odchodzącym mężem wraz z córką szepnęła po cichu: — Biedne, biedne moje dziecko! Co się temu obmierzłemu Szwabowi uroiło w głowie? — Było to milczące zastrzeżenie opozycyjne, na wzór tych restrykcyj mentalnych, jakie przedlitawski minister rolnictwa, Alfred na Złotym Potoku hrabia Pilawa Potocki, musiał sobie robić, gdy solidarnie z p.p. Giskrą i Taafem występował przeciw rezolucyi sejmu galicyjskiego i kiedy wiatr w kominach wiedeńskich jęczał na nutę:

Oj Pane Potockij, wojewodzkij synu!...

No, pani Precliczkowa, z domu Hanserle, nie miała przynajmniej ani Sulisława Pilawity, ani Rewery między swoimi antenatami i nie mogła wyjechać do Łańcuta, by tam *procul negotiis*, zająć się w spokoju fabrykacyą rosolisów i poprawianiem ras bydła wszelakiego rodzaju. Była ona dobrą, polską matką, ale przytem posłuszną, niemiecką żoną; pan hrabia Alfred zaś, o ile mi wiadomo, nie poszedł jeszcze zamąż za p. Giskrę, choć wszelkie pozory są po temu.

Miejmy tedy wzgląd dla słabej płci niewieściej. Nie wyrzucajmy jej braku energii, póki każdy Petrino albo Hormuzaki może dworować sobie z naszej płci męskiej.

Za chwilę Milcia i pan Precliczek znaleźli się w saloniku księdza Zająca, gdzie ksiądz proboszcz przyjął ich ze wszelkiemi względami, należącemi się reprezentantowi rządu w Capowicach, a ksiądz wikary ze wszelkiemi względami, należnemi płci słabej, a zapłakanej i pięknej.

Po krótkiej preliminarnej rozmowie, przystąpiono do ekshibicyi metryki i świadectwa zaszczepionej ospy, poczem ksiądz wikary ujął za pióro, a ksiądz Zając z miłym uśmiechem, klepiąc się po kolanie, począł stawiać Milci wszystkie pytania, jakie zawarty z kuryą rzymską konkordat nakazuje stawiać przy podobnych okazyach. Łaskawe zamężne czytelniczki wiedzą, że są tam między temi pytaniami takie, które ze stanowiska soboru trydenckiego są bez wątpienia nader potrzebne, ale obliczo-

ne są, niestety, na stulecie nierównie naiwniejsze od naszego. P r z y s z ł y m zaś mężatkom niechaj służy do wiadomości, że najsnadniej dostąpi zbawienia wiecznego ta, która przy protokule niektórych z tych pytań wcale nie zrozumie... Snać sobór trydencki odbywał się i uchwalał swoje kanony w czasach, kiedy cnota była niezbyt powszechną i potrzepowała być stwierdzoną protokularnie.

Ksiądz Zając przypisywał bardzo słusznie skromności i wstydliwości panieńskiej ambaras widoczny, w jakim znajdowała się Milcia. Chwilowo zbladła tak, że ksiądz wikary poskoczył i podał jej szklankę wody. To ją ochroniło od zemdlenia, ale zakłopotanie jej i niepokój wzrastały widocznie. Nakoniec ksiądz Zając wygłosił po raz szósty nierozwiązane dotychczas pytanie:

— *Haben Sie schon vielleicht Jemanden das Versprechen geleistet, ihn zu ehelichen?* (Ksiądz Zając, w obecności pana Precliczka, urzędował według c. k. konkordatu i według przepisów Świętego Kościoła powszechnego w ces. kr. języku ogólnie-przedlitawskim).

Milcia użyła tu wybiegu, którego doradzam wszystkim moim P. T. ziomkom, ilekroć doręczony im będzie *Zahlungsauftrag* po niemiecku.

— Ksiądz dziekan daruje — ja nie rozumiem po niemiecku...

— *Ja, ja, sie ist so eine verflixte Polin* — rzekł z dobrodusznym uśmiechem, pan Precliczek, szczypiąc ją drugim i trzecim palcem prawej ręki w policzek.

To dało jej może czas do namysłu i do skupienia wszystkich sił swoich. Ksiądz dziekan sformułował swoje pytanie po polsku, z miną namaszczoną i skupioną.

Otóż w tej chwili bohaterka moja zaczyna być prawdziwą bohaterką. Zarumieniła się wprawdzie bardzo mocno i zawahała, ale nakoniec wstała z kanapy i powiedziała stanowczo:

— Tak, przyrzekłam już i przysięgłam komuś, że będę jego żoną. Przysięga moja jest ważną, choć nie miała świadków, dotrzymam jej święcie.

Ksiądz wikary począł mocno kaszlać, ksiądz Zając szukał chustki do nosa, pan Precliczek stał w niemem osłupieniu i był czerwony, jak gdyby go dławił jego złoty kołnierz od munduru.

Ksiądz Zając pierwszy przerwał milczenie, oświadczając, że według praw kościelnych, przysięga taka stanowi przeszkodę do zawarcia innego małżeństwa.

Pan Precliczek macał się po piersiach konwulsyjnie, by się przekonać, czy mu się przypadkiem nie śni wszystko, co słyszał i widział w tej chwili.

— *Aber das ist ja nicht möglich! Ich habe doch meine väterliche Gewalt—ich bin k. k. Bezirksvorsteher — ich weiss nichts davon. — Milchen, bist du toll? Was fällt dir ein, mein Kind? Willst du mich umbringen? Willst du..... Kreuzhimmeldonnerwettersakermentkruzitürkenallelujanochamal!*

Ksiądz Zając spostrzegł, na co się zanosi, i z kapłańskiem namaszczeniem, rozłożywszy obie dłonie, wachlował niemi powoli powietrze przed so-

bą, jak gdyby dla uspokojenia wzburzonych żywiołów. Pan Precliczek spojrzał na niego, jak gdyby się spodziewał wyjaśnienia. Ksiądz Zając otworzył śluzy swojej wymowy, i przedkładał Milci bardzo pięknie, jako dzieci winne są cześć i posłuszeństwo rodzicom, jako w wyborze przyszłego męża, nikt nie może być lepszym sędzią, jak ojciec, jako pan Johann von Sarafanowycz jest ze wszechmiar godnym, zacnym, poważanym, a nawet urodziwym młodzieńcem, i jako kwestya danego już komu innemu przyrzeczenia da się załatwić, bo Kościół ma przepisy, ale także prawo odstępowania od przepisów w pewnych, wyjątkowych razach.

Ale Milci najtrudniej było zdobyć się na pierwsze wyznanie. Teraz, kiedy rokowania były już w toku, i nietylko ojciec, ale i ksiądz Zając i ks. wikary znali połowę jej tajemnicy, siła jej oporu wzrastała z każdą chwilą.

Mniemam, że nawet poseł bocheński, gdyby się raz był tylko odważył być w opozycyi przeciw ministerstwu, doprowadziłby potem daleko pod tym względem. Jeżeli niema psychologicznego prawidła, któreby przeszkadzało posłowi z większych posiadłości obwodu brzeżańskiego stanąć na tak niesłychanym stopniu odwagi obywatelskiej, to do czego nie jest zdolnym upór kobiecy!

Wszelkie perswazye księdza Zająca były daremne. Milcia oświadczyła stanowczo, że nie pójdzie za pana Sarafanowycza; że to jest przebrzydły świętojurzec, szpicel policyjny (jak gdyby te epiteta były w istocie ubliżającemi i stanowiły tyleż imdimen-

tów kanonicznych); że ojciec rozpatrzywszy się, sam nie zechce ją zmuszać do takiego małżeństwa, i — rozszlochała się tak, że nie mogła dalej mówić. Księdzu wikaremu także jakoś na płacz się zebrało, bo wybiegł z pokoju i udał się prosto do państwa kontrolerów. Za chwilę cała inteligencya i nieinteligencya capowicka mogła widzieć pana forsztehera, jak z oznakami największej pasyi pędził z plebanii do becyrku, zapominając o Milci, która szła za nim powoli, osłonięta woalem i słońcochronem od ciekawych spojrzeń publiczności. Panna kasyerówna zrobiła uwagę, że forszteherówna „strasznie sobie dodaje". Pani kontrolerowa orzekła, że tak zawsze bywa z jedynaczkami: matka i ojciec psują, i Bóg wie, co z tego bywa. Potem pani kasyerowa szeptała coś pani kontrolerowej do ucha, i dodała głośno:

— Ale ja temu nie wierzę.

A pani kontrolerowa odrzekła:

— Fe, co za plotki! a zresztą — kto może wiedzieć... ja sama uważałam...

I znowu pani kontrolerowa nachyliła się do ucha pani kasyerowej, podczas, gdy panny kasyerówny i panna kontrolerówna wraz z siostrą pani pocztmistrzowej, przedsiębrały wymianę bardzo rozumnych i znaczących spojrzeń, udając atoli przed księdzem wikarym, że nie zajmują się bynajmniej ową szeptaną rozmową i raczej chciałyby wiedzieć, o której godzinie jutro będą nieszpory.

I tak całe Capowice tego dnia mocno zakłopotane siadły do obiadu.

ROZDZIAŁ XII,

który kończy się przyrządzeniem kleiku, potrawki z kurczęcia, kluseczek z serem i komputu śliwkowego — i może mieć niejaki interes dla P. T. pp. lekarzy praktykujących.

Gdy pan Precliczek przybył do domu, oczekiwała go już waza na stole, ale zapisanem było w wyrokach losu, że tego dnia nic nie miało się powieść panu forszteherowi, nawet spokojne spożycie obiadu. Na progu spotkał się z żoną, która już z daleka, przez okno, spostrzegła była po jego chodzie i po gestach, które robił po drodze, że zanosi się na burzę, niesłychaną dotychczas na widnokręgu małżeńskim państwa Precliczków. Kasia i Maryna, wyglądnąwszy przez drzwi z kuchni na kurytarz, cofnęły się przerażone widokiem groźnej miny pana forszteherа. Zachodziła obawa już nietylko o talerze, szklanki, półmiski i inne projektylia, używane w wojnach domowych, ale można było przypuszczać, że jak niegdyś Tytanowie podnosili góry i wyrywali lasy w swoim gniewie, tak i pan Precliczek całe Capowice, Capówkę i Capową Wolę przewróci do góry fundamentami.

Aux grands maux les grands remèdes — wspomniałem już, że pani Precliczkowa posiadała w swojej apteczce małżeńskiej środek, który uśmierzał czasem najgwałtowniejsze wybuchy jej domowego Wezuwiusza. Kobiety nie potrzebują studyów, ani długoletniej wprawy, gdzie chodzi o użycie środków tego rodzaju. Na pierwszy widok swego małżonka,

sapiącego i parskającego, jak lokomotywa, zacna ta i kochająca niewiasta załamała ręce i z wyrazem największego niepokoju w twarzy i w głosie zawołała:

— *Um Gottes Willen, was ist dir geschechen? Du bist ja krank!*

Uważny spostrzegacz różnic akcentowych mógłby był przy tej sposobności skonstatować, że pani Precliczkowa, *née* Hanserle, przeciągała nieco z krakowska z głoski *len* i *hen*" — a wprawny polityk byłby odgadł, że czuła ta przemowa małżeńska wystosowana była w języku niemieckim z tego samego powodu, z jakiego pan Capowicki, pan Papinkowski, pan Bykowski i wielu innych panów ickich i owskich każą zawsze swoim adwokatom pozwy i podania do władz i do sądów pisywać po niemiecku. Wiele wody upłynie, nim się nauczymy żądać sprawiedliwości po polsku. Niektórzy Polacy galicyjscy dojdą do tej doskonałości może dopiero wtedy, gdy Rada Państwa uchwali a Najj. Pan zatwierdzi ustawę, mocą której nakazanem będzie każdemu surowo używanie tego języka, który najlepiej umie i rozumie. Ale ponieważ ewentualność ta niema nic wspólnego z niniejszą powieścią, nadmienię tylko w krótkości, że pani Precliczkowa mówiła po niemiecku jedynie wobec okoliczności tak naglących i niebezpicznych, jak te, wśród których przyszło jej teraz powitać męża.

Skutek był szybki i zupełny. P. Precliczkowi już na plebanii i w drodze do domu przychodziła do głowy straszna myśl, że jego kwasy żołądkowe nie wytrzymają tak łatwo wzruszenia, na jakie były

narażone. Czuł już nawet parę razy jakiś rodzaj czczości, to znowu kurczu we wnętrznościach, i nie wpadł bynajmniej na pomysł przypisania tych symptomatów minionej już od dość dawna porze obiadowej; zapomniał bowiem, że protokuł z panem Schreyerem i protokuł z Milcią zabrał był wiele czasu, że mogło już być około 2-giej popołudniu. Spostrzeżenie pani Precliczkowej otworzyło mu oczy co do właściwego stanu jego zdrowia. Natychmiast schwycił się obydwoma rękami za żołądek i przybrał w twarzy wyraz tak mocno wzywający politowania, że pani Precliczkowa poczęła nalegać usilnie, by się położył do łóżka. Z wielkiem stękaniem uskutecznioną została ta operacya. Wrząca woda znalazła się w kuchni, w jednem mgnieniu oka pani Precliczkowa przyrządziła sporą dozę rumianku, pieprzowej mięty na uśmierzenie boleści i ciepłe materacyki do okładania zaafektowanej części ciała.

— Powinienbyś raz przecie spróbować magnezyi: na kwasy w żołądku niema, jak magnezya — dodała troskliwa małżonka — tym razem po polsku.

Sam Jowisz gromowładny, gdyby leżał w łóżku z zawiązaną głową i z materacykami na żołądku, popijając pieprzową miętę, przestałby podobno być strasznym i lada bożek *der zwölften Diätenklasse*, albo nawet jaki *Angestellter* w Olimpie, patrzyłby bez trwogi na jego pioruny, zawieszone na kołku... Kto wie, czy p. Giskra nie przystałby na kilka punktów rezolucyi galicyjskiej, gdyby dostał ataku choleryny?

Jowisz i Giskra capowicki był w tej chwili

bezwładnym i nie dbał, w jakim języku ofiarowano mu pomoc, przystał tedy odrazu na magnezyę. Posłano do apteki i za pół godziny pan forszteher spożył taką ilość tej alkalicznej podstawy, że w połączeniu z odpowiednim równoważnikiem kwasu żołądkowego, mogło to dać parę funtów jakiej kombinacyi chemicznej drugiego rzędu. Nadszedł tymczasem dr. Herz, pochwalił środki, przedsięwzięte narazie przez panią Precliczkowę, polecił panu forszteherowi jak największy spokój, leżenie w łóżku, postawienie pijawek i baniek, synapizma i dekokt bzowy z bitem żółtkiem na poty, poczem zapisał mu jeszcze dwie mikstury: jedną rozwalniającą, a drugą wstrzymującą, i wyczerpawszy tym sposobem cały prawie zasób swojej umiejętności medycznej odszedł z zapewnieniem, że chory do rana będzie się miał lepiej — a gdyby nie, to lekkie puszczenie krwi ulży mu z pewnością.

Pospieszam uspokoić szanowną publiczność, że mimo tych środków ostrożności, pan Precliczek nie umarł, ale żyje dotychczas. Są natury tak silne, że wszyscy lekarze z prowincyi, razem wzięci, nie potrafiliby ich pokonać. Ale wśród stawiania pijawek, potów i zażywania mikstur, p. Precliczek jęczał i stękał nader żałośnie, opowiedział p. Precliczkowej, jakie zmarwienie sprawiła mu Milcia, jak wiele mu zależało na tem, by pan Sarafanowycz został członkiem jego rodziny, zwłaszcza, że w przeciwnym razie może łatwo, jak twierdził, stracić chleb i na stare lata pójść z torbami. Nakoniec spytał, co to mo-

że być za przyrzeczenie, na które Milcia powoływała się przy protokule u księdza Zająca.

Pani Precliczkowa mniemała, że teraz przyszła chwila załatwienia sprawy, która jej sprawiała tyle niepokoju. Wiedziała ona dobrze, że pan Precliczek niekoniecznie pójdzie „z torbami," choć straci posadę; wiedziała także, że już nieraz różne komisye gubernialne i sądowe zjeżdżały do Capowic, a żadna z nich jeszcze nie tknęła ani włosa na głowie pana forsztehera. Próbowała najprzód tym ostatnim względem uspokoić szanownego małżonka.

— *Ja, du machst die Rehnung ohne den Belcredi!* — odpowiedział pan Precliczek. I po raz pierwszy zniżył się do wyjaśnienia swej żonie tej wielkiej tajemnicy administracyjno-politycznej, że gabinet, który zatwierdził konstytucyę ludową, niema najmniejszego względu na starych, zasłużonych urzędników, i że mógłby tym razem on, Precliczek, przepaść z kretesem, gdyby nie ta nadzieja, że przynajmniej we Lwowie pamiętać będą, ile państwo winno sprężystej jego działalności w latach 1846, 1849 i 1864. Ale i tu potrzebną była koniecznie interwencya ks. Nabuchowycza, bo „intrygi," uknute przeciw panu forszteherowi, były bardzo różnorodnej i skomplikowanej natury, a to rewolucyjne dziennikarstwo polskie bezustannie wywlekało jakieś nowe *Plackereien* przeciw niemu. Pan Precliczek zwierzył się nakoniec żonie, że wielką część tych prześladowań przypisuje p. Schreyerowi.

Na tyle otwartości, pani Precliczkowa odpowiedziała otwartością ze swej strony. Oprócz kurczów

i innych dolegliwości żołądkowych, spadła tedy na pana forsztehera, jak nowy grom, w tym dniu tak burzliwym wiadomość, że dopiero co zasuspendowany aktuaryusz jest szczęśliwym rywalem p. Sarafanowycza.

Ale jak bohater, ranny na polu bitwy, zbiera ostatnie siły, podnosi się, i choć nie może zadać śmiertelnego ciosu wrogowi, rzuca mu przynajmniej ostatnie wyzwanie w oczy: tak pan Precliczek jedną ręką przyciskając do żołądka kołdrę, szlafrok i materacyki, a drugą poprawiając chustkę, która ułożona była w fantastyczny węzeł na jego czole, podniósł się z poduszki i zawołał:

— *Was! Schon wieder dieser verfluchte Polack!* — I byłby się może zerwał z łóżka na ziemię, zawołał Newełyczka i zasiadł do pisania nowego protokułu, gdyby mu była pani Precliczkowa nie przypomniała, że jest w potach, i że dr. Herz zalecił mu największy spokój.

Pan Precliczek położył się napowrót i odłożył do jutra czynne wystąpienie przeciw panu Schreyerowi, — ale może wskutek gorączki, wywołanej czy kwasami, czy lekami dr. Herza, nie przestawał zżymać się i grozić, bez względu na to, że niejedno co mówił, powinno było zostać tajemnicą urzędową. I tak wyjawił, że kolega jego Woslaczek, naczelnik powiatowy z Prądnicy, pod którym służył dawniej pan Schreyer, opowiadał mu, jako *dieser pflichtvergessene junge Mann*, w roku 1863, podczas gdy sądy obarczone były czynnościami z powodu indagacyi powstańców, wziął sobie, na podstawie zaświadczenia

lekarskiego, urlop w maju, dla poratowania zdrowia, i nie wrócił na swoją posadę aż w marcu 1864 r.

Pan Precliczek znany był oddawna jako genialny sędzia śledczy w procesach politycznych. Teraz, gdy sobie przypominał fakt właśnie nadmieniony, obudziło się w nim na nowo podejrzenie, które mu już raz nakształt nieokreślonego przeczucia przeszło było przez głowę. Schreyer brał urlop dla poratowania zdrowia od maja 1863 aż do marca 1864 r., t. j. przez cały czas, gdy trwało powstanie polskie, aż do zarządzenia stanu oblężenia. Z doniesień i notatek różnych wypływało, że od lipca 1863 r. do końca lata, pomieniony Schreyer w istocie bawił w Krynicy, a później dla dalszej kuracyi jeździł za granicę, podobno do Włoch. W czasie odwilży lub zbliżającej się słoty, tenże Schreyer uskarżał się mocno na ból reumatyczny w prawej nodze, co mogło być bardzo łatwo bolem innego rodzaju, nap. wskutek odzywającej się rany od strzału, lub pchnięcia bagnetem albo lancą. W jednej chwili cała, okropna prawda stanęła przed oczyma pana Precliczka. Nie ulegało wątpliwości, że od maja do lipca 1863 r., *der pflichvergessene Aktuar* zajmował się zaburzeniem spokojności publicznej i brał udział w insurekcyi przeciw ościennemu, a z monarchią J. c. k. apost. Mości tak zaprzyjaźnionemu mocarstwu, następnie zaś, aż do jesieni 1863 r., lizał się w Krynicy z rany, otrzymanej na polu bitwy, i do marca 1864 r. bawił zagranicą — może w jakiejś misyi rewolucyjnej!!!

Plan pana Precliczka, na podstawie tych nader zmyślnych kombinacyj osnuty, zrobiony był w jednej

chwili. Zaraz nazajutrz postanowił sobie uwięzić pana Schreyera, zawołać dr. Herza i dr. Rzeźnickiego, skonstatować, czy domniemana rana pochodzi od kuli, czy od pchnięcia, zrobić protokuł i odesłać go sądowi karnemu. Pijawki, bańki, poty, mikstury i poprzednia irytacya przyczyniła się do tego, że pan Precliczek, wpadając w coraz większą gorączkę, nie uważał na obecność żony i myślał całkiem głośno. To wyrzucał Schreyerowi, że knowa przeciw niemu spiski i chce go zrobić żebrakiem; to znowu antycypował przyjemność robienia protokułu z delikwentem i zadawał mu różne, zręcznie skrzyżowane, zapytania; to dyktował panu Newełyczce *Bericht* do prezydyum namiestnictwa, w którym podnosił niezmierną zasługę swoją w wykryciu tak niebezpiecznego i długo utajonego rewolucyonisty i t. d. Pani Precliczkowa spostrzegła z trwogą, że mąż jej naprawdę jest chory, i zwyczajem wszystkich kobiet, poczęła go męczyć pytaniami, czyliby czego nie zjadł, i coby mu najlepiej smakowało? Ostatecznie zdecydowała, że gorączka przyszła z osłabienia, wskutek czczości, i poszła przyrządzić kleik, potrawkę z kurczęcia, leciutkie kluseczki z serem i kompot ze śliwek, jako najskuteczniejsze środki przeciw tej chorobie pana Precliczka, którą, za pozwoleniem wszystkich prześwietnych fakultetów, pozwolę sobie nazwać „malignę protokularną“ po łacinie— *delirium becircosum.*

Przechodząc przez pokój bawialny, pani Precliczkowa spostrzegła, że ma drugiego pacyenta w domu. Milcia wróciła z plebanii z ciężkim bolem głowy i z mdłościami — jej bladość przeraziła matkę

bardziej, niż pan forszteher z wszystkiemi swojemi piorunami i kwasami żołądkowemi. Pani Precliczkowa obsypała ją pieszczotami i prośbami, ażeby się położyła do łóżka. Prośby te były daremne. Milcia była tak zaniepokojoną, że niepodobnem było, ażeby mogła znaleźć spoczynek, nie widziawszy się poprzednio z Karolem.

Mamże powiedzieć prawdę? Ha — pani Dudevant opowiada gorsze rzeczy o swoich bohaterkach, więc i ja przyznam otwarcie, że moja słuchała pod drzwiami i słyszała całą rozmowę ojca z matką, jakoteż groźby jego przeciw Karolowi. Było to niepięknie z jej strony, ale w takich okolicznościach i po scenie, jaka się odbyła rano u ks. Zająca, niedyskrecya tego rodzaju była mniej trudną do darowania. Zresztą oświadczam, obiecuję w jej imieniu, że stało się to po raz pierwszy i ostatni. Wyznała zresztą matce, że wie o wszystkiem, i płakała gorzko nad swoją niewdzięcznością wobec ojca, który tylko przyciśnięty koniecznością, chce ją wydać za Sarafanowycza. Muszę dodać, że płakała niemniej gorzko na myśl o Karolu, z którym może przyjdzie się rozstać i który poczęści z jej winy ma się stać prawdziwym męczennikiem, dostać się do więzienia! Ca za myśl okropna!

Zrobiłem już raz podobno, a to w innej powiastce, którą mi na szczęście szanowna publiczność zapomniała i przebaczyła, tę uwagę, że nasze siostry i kuzynki nierównie są skłonniejsze do oddawania osób naszych na ołtarz ojczyzny, niż nasze kochanki i żony. Gdyby Karol był bratem Milci, sama myśl,

że należał do powstania w roku 1863, byłaby ją czyniła szczęśliwą, a druga myśl, że może mieć proces, stracić sposób do życia i na domiar złego siedzieć w więzieniu, byłaby jej się wydawała tragiczną, ale nie tak okropnie nieznośną, jak w tym wypadku.

Słyszę już, jak panna ...owska, panna ...icka, i panna ...owiczówna kładą na karb niepolskiego pochodzenia Milci ten niedostatek czystego zupełnie patryotyzmu. Niech i tak będzie — potrzeba coś przecie zostawić Polkom słowiańskiego pochodzenia przed Polkami germańskiej rasy!

Ale coś potrzeba było zrobić, coś poradzić — przynajmniej ostrzedz Karola, by się miał na baczności. Droga, kochana mama nie mogła przecież odmówić swego pozwolenia, ażeby Kasia pobiegła z bilecikiem, wzywającym Karola na chwilkę rozmowy? Nie, nie odmówiła — pomogła Milci płakać przez parę minut, i poszła przyrządzać ojcu kleik, potrawkę, kluseczki i kompot, podczas gdy Kasia pobiegła z bilecikiem.

Macierzyńska ta koncesya uspokoiła Milcię cokolwiek. Poszła rozmyślać bez płaczu nad zdarzeniami dnia całego, i nie mogła się nawet wstrzymać od uśmiechu, przypominając sobie ambaras ks. Zająca i ks. wikarego w chwili, gdy im podała do protokułu ową stanowczą deklaracyę, że ręka jej już jest przyrzeczoną komu innemu, niż panu Sarafanowyczowi. Milcia domyślała się, że całe miasto, ba! cały powiat wie już o tem zdarzeniu, i znajdowała szczególną przyjemność w tej myśli. Jest to integralną częścią tego szczęścia, którego doznajemy

w kochaniu, by ludzie domyślali się i widzieli, że kochamy i jesteśmy kochanymi lub kochanemi. Już to samo, że świat w rozmowach i plotkach swoich łączy nas z osobą kochaną, wydaje nam się zapowiedzią i jakby przedsmakiem przyszłego rzeczywistego połączenia. Milcia w tej chwili myśląc o Karolu, wyobrażała sobie, że miłość ich nie jest bez nadziei. Ależ ten Karol! Czemu jej nigdy nie mówił o swoim udziale w powstaniu? Wszak onaby go nie zdradziła! No — tem piękniej z jego strony, że taki skromny. Ale zawsze mu się należy mała reprymenda. Trzeba się trochę podąsać na niego. Wtem— dały się słyszeć kroki na schodach, i Milcia zapomniała o reprymendzie i o dąsaniu.

ROZDZIAŁ XIII,

w którym pan aktuaryusz Schreyer zwala Olimp swoich insubordynacyj na Ossę innych swoich karygodnych czynów, a Pelion w postaci pana Sarafanowycza zostaje na spodzie.

Mam opisać scenę, pod każdym względem rzewną i dramatyczną, to jest, mam doskonałą sposobność wynudzić moich czytelników stenograficznem sprawozdaniem z rozmowy, jaka nastąpiła między Milcią i Karolem, podczas gdy p. Precliczek w gorączkowych widzeniach swoich przeprowadzał przeciw aktuaryuszowi c. k. sądu powiatowego w Capowicach ostateczną rozprawę w procesie o zbrodnię zaburze-

nia spokojności publicznej według § 66 k. k., a pani Precliczkowa przygotowywała „coś lekkiego,“ aby przywrócić zdrowie i siły zacnemu swemu małżonkowi.

Rozważyłem atoli, że rozmowy tego rodzaju interesujące są tylko o tyle, o ile się w nich bierze udział czynny jako strona intresowana. Dla obojętnego, zimnego słuchacza mają one tylko tyle powabu, ile go ma opis zjedzonego kiedyś obiadu dla człowieka, który właśnie cierpi na niestrawność, albo o ile go mieć może opowiadanie o cnotach Cyncynnata lub o wstrzemięźliwości Fabrycyusza dla męża, wybranego przez Opatrzność i stu czterech właścicieli tabularnych na rzecznika interesów galicyjskich w Parlamencie przedlitawskim. Czego nie pragniemy lub nie praktykujemy w rzeczywistości, to i w poezyi niema dla nas uroku. Oto cały sekret powodzenia realizmu nowoczesnego, że w powieści, na scenie, w obrazach i rzeźbie daje on ludziom tylko to, co lubią i robią sami. Dlatego też w powieściach znajdujemy traktaty ekonomiczne, na scenie watę, róż i powiewne greckie stroje, a na wystawie obrazów same portrety, jako konterfekta stojącego na pierwszem miejscu naszego *ja*, tego ideału, poruszającego wszystkie nasze czynności.

Któżby dziś słuchał czułego gruchania dwojga kochanków, wyjąwszy, jeżeli żeńska część gruchającej pary ma na sobie trykoty, jak w *Iskrze* Halma, i jeżeli do poetycznych zwrotów, obijających się o ucho, oko może dodać realny, prozaiczny komentarz? Wyjątek stanowi w Lwowie panna Romana

Popielówna, która ma przywilej zachwycać n a w e t giełdzistów, i to n a w e t w długiej sukni. Ale panna Popielówna jest znakomitą artystką, a bohaterka, której dzieje opisuję, nie była nią wcale, przeto jej przymilanie się, szczebiotanie i kwilenie nie może liczyć na takie względy szanownej publiczności. Z tego wynika, że zamiast dramatycznego opisu owej rozrzewniającej sceny z Karolem, wolę opowiedzieć w streszczeniu, jak się to wszystko odbyło.

Najprzód tedy Milcia doniosła p. Schreyerowi o niebezpieczeństwie, które wisiało nad jego głową, a on przyjął to z jak największym spokojem i odrzekł, że nic mu się stać nie może, bo niema dowodów, aby kiedy był w powstaniu. Z kilkomiesięcznego zaś więzienia śledczego nie robił sobie nic zupełnie. Tu Milcia oświadczyła, że chyba jej nie kocha, jeżeli mu są obojętnemi przykrości, które go spotkać mogą. Karol był z początku tego zdania, że przykrości, których uniknąć niepodobna, należy znosić z rezygnacyą, ale wyraz rezygnacya jest tak okropny dla młodego wieku, że Milcia nie mogła go znieść na żaden sposób, tembardziej, że był on w tej chwili równoznaczący z rozstaniem się na zawsze. To zachwiało równowagę umysłową Karola. Kochał on Milcię bardzo i także nie chciał myśleć o rozstaniu. Raczej już o śmierci. Roztrząśnięto potem raz jeszcze wszystkie stosunki, szanse i nadzieje, i zdecydowano, że obopólne położenie jest w najwyższym stopniu rozpaczliwe. Z rozpaczliwego położenia wyjść można tylko rozpaczliwemi środkami, a takiemi są: cierpliwość, wykradzenie i — znowu śmierć.

O cierpliwości nie mogło być mowy w tym wypadku między aktuaryuszem sądowym, który traktuje swego szefa w napadzie gniewu tak, jakeśmy to wyżej widzieli, i panną, która nie chce mówić po niemiecku nawet z JExc. Panem jenerał-gubernatorem. Co do wykradzenia, połączone jest ono z niejakiemi trudnościami, osobliwie w Capowicach, gdzie sąsiedzi wiedzą nietylko jak kto siedzi, ale nawet na którym boku śpi i ile razy obraca się na łóżku w nocy. Potem wobec konkordatu, metryk, protokułów i kart legitymacyjnych, dawny, romantyczny sposób brania ślubu gdzieś w jakimś odległym kościółku, w najgłębszej tajemnicy, nie da się już dziś zastosować. Powieściopisarze stracili niezmiernie wiele na tej zmianie stosunków, chyba, że mają bohaterów, którym dana jest możność wyjechania zagranicę i uniknięcia formalności przedślubnych, jakoteż biura meldunkowego w c. k. policyi. Zważywszy tedy, że Karol i Milcia cierpliwością nie chcieli, a przemocą nie mogli pokonać nienawistnego losu, uchwalili wspólnie, że najlepiej im będzie — umrzeć.

Na oko niema też nic łatwiejszego — ale tylko na oko. Śmierć ma tak dobrze swoje kaprysy, jak każda inna kobieta, i najtrudniej o nią wtedy, gdy się jej najmocniej pragnie. Sam pragnąłem raz koniecznie zginąć, i szedłem do powstania z tem postanowieniem, ażeby nie unikać żadnej kuli i żadnej lancy kozackiej, a tymczasem po drodze, zamiast śmierci, spotkałem c. k. żandarmeryę i dostałem się nie na tamten świat, ale do kozy. Myślałem, że tam przynajmniej zaduszą mię przykre wyziewy, zamę-

czą protokuły, lub zanudzą romanse francuzkie, których miałem podostatkiem. Ale gdzie tam! — przetrwałem to wszystko, nawet kuracyę c. k. lekarza sądowego i fortepian pani kerkermajstrowej, brzęczący od rana do wieczora o dwadzieścia kroków od mojej celi. Karol i Milcia mieli także bardzo silne zdrowie, i myśleli sobie każde dla siebie, że nie umrą tak prędko — nie ręczę jednak, czy nie zamyślali w ostatecznym razie dopomódz naturze i przyspieszyć termin zgonu jakim bezbożnym sposobem. W romansowych głowach podobne przedsięwzięcia powstają nader snadnie i statystyka wykazuje, że wykonywane bywają dość często.

Na tym punkcie tragicznym stanęła była rozmowa, i pan Precliczek, posiliwszy się tymczasem dzięki staraniom nieocenionej swej połowicy, czuł się o tyle zdrowszym, że przywdział szlafrok i pantofle, zapalił fajkę i chodził tam i nazad po swoim pokoju, gdy znowu dały się słyszeć kroki na schodach, otworzyły się drzwi i wszedł nie kto inny, jak tylko sam pan Johann von Sarafanowycz, z najpiękniejszym swoim uśmiechem na twarzy. Uśmiech ten skamieniał jednak na widok tego, co się działo w bawialnym pokoju państwa forszteherów. Karol i Milcia siedzieli na sofie bardzo blizko siebie, ona miała głowę i jedną rękę opartą na jego ramieniu, a drugą pozwalała mu ściskać i całować do woli, wpatrując się, jak w obraz, w jego duże, czarne oczy. Pan Sarafanowycz stanął jak wryty i zawołał:

— A to co? *Was ist das?* — dodał, poprawia-

jąc się i wzrokiem inkwizytorskim mierząc to p. Karola, to Milcię.

Milcia zapłoniła się i zerwała się z miejsca, ale chwilowe i naturalne jej zakłopotanie, dzięki rozkazującemu tonowi i imponującej minie pana adjunkta, ustąpiło miejsca oburzeniu.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał Karol.

— Jak to, czego ja sobie życzę? Ja sobie życzę wiedzieć, co tu panna Emilia robi z p. Schreyerem? *Was hat das zu bedeuten?*

— Panu nic do tego — odpowiedział pan Schreyer — nie masz pan prawa indagować tu nikogo.

— Zobaczymy, *wir werden sehen!* Ja się zaraz spytam pana becyrkforsztehera! — I posunął się ku drzwiom, które prowadziły do pokoju pana Precliczka.

Milcia, przerażona tą groźbą, zastąpiła mu drogę i zawołała:

— Panie, tam nie można iść, mój ojciec jest słaby!

— To nic nie szkodzi, pan becyrksforszteher musi dowiedzieć się, co się dzieje w jego domu. Panna Emilia ma zostać moją żoną, *meine Ehefrau*, i to na żaden sposób być nie może, *es ist ganz unzulassig*, ażeby panna Emilia romansowała z panem Schreyerem. *Das kann nicht geduldet werden.* Ja sobie to wypraszam—dodał, uderzając się w piersi przy słowie: ja — poczem przypomniawszy sobie jeszcze jeden frazes półurzędowy, powtórzył dla lepszego wyjaśnienia po niemiecku:—*Das werde ich mir ausbitten!*

Możnaby było znaleźć rozweselającą stronę w tem zachowaniu się pana Sarafanowycza, ale ani Karol, ani Milcia nie byli w usposobieniu do robienia wesołych uwag. Karol na chwilę oniemiał z gniewu, Milcia prędzej od niego zdobyła się na odpowiedź:

— Kto panu powiedział, że ja mam zostać pańską żoną? Skąd pan masz prawo rozkazywać mi cokolwiek, lub zakazywać?

— A czy to panna Emilia nie wie, co to jest *die väterliche Gewalt?* To stoi napisano w paragrafie.... w paragrafie.... jednem słowem, p. becyrksforszteher wydaje pannę Emilię za mnie, i koniec! To jest *die väterliche Gewalt!*

— A choćbyś pan to powtarzał po niemiecku i po turecku, to nic z tego nie będzie, i ja nie pójdę za pana! Mówiłam to już ojcu i księdzu proboszczowi, i powtórzę to sto razy: nie chcę i nie pójdę!

— Ooo! — zawołał pan adjunkt, który miał snać większe jeszcze wyobrażenie o władzy pana forsztehera, niż ten dostojnik sam — ho! ho! ho! Zobaczymy, *das werden wir sehen!* A potem... dlaczegoby panna Emilia nie miała pójść za mnie? — dodał nieco łagodniej. — Jestem sobie n i c z e g o i mam, Bogu dzięki, *eine Stellung* — panna Emilia z r o b i s z c z ę ś c i e; tylko te romanse z panem Schreyerem to ja sobie wypraszam, *ja, das werde ich mir ausbitten!*

— Panie Sarafanowycz — odezwał się Karol przytłumionym od wściekłości głosem — jesteś pan

zbyt ograniczonym, byś pan mógł zrozumieć, że gadasz same głupstwa i obrażasz damę, do której mówisz. Ale jeżeliś się wychował w lesie, to ja pana nauczę grzeczności.

— A to co? *Was ist das? Was haben Sie hier zu reden Sie polnischer Rebellant? Ich bin k. k. Bezirksadjunkt, wissen Sie das?* — I pan Sarafanowycz przybrał taką minę, jaką mu nakazywało poczucie urzędowej swojej godności.

Przekonaliśmy się już raz, że pan Schreyer na niegrzeczności niemieckie zwykł był odpowiadać po niemiecku. Nazwa *polnischer Rebellant* nie wydała mu się może w gruncie tak bardzo ubliżającą, ale całe zachowanie się pana Sarafanowycza i przykre położenie, w jakiem ono stawiało Milcię, doprowadziło jego cierpliwość do ostatecznych granic. Wywiązała się tedy krótka i żywa dyskusya niemiecka, którą podaję tu wdług spisanego później protokułu, znajdującego się do dziś dnia w Kozłowicach, między przeniesionemi tamże aktami c. k. urzędu powiatowego z Capowic.

— *Sie sind ein ungezogener Bengel!* — rzekł pan aktuaryusz.

— *Ich bin k. k. Bezirksadjunkt, und ich werde Sie disciplinarisch behandeln!*—odparł pan adjunkt.

— *Ich werde Sie behandeln!*—rzekł znowu pan aktuaryusz, z groźnym gestem, postępując krok naprzód, podczas gdy Milcia chciała się już rzucić między obydwu przeciwników, dla powstrzymania wszelkich czynniejszych objawów namiętności. Ale pan Sarafanowycz, nie czekając na ten nowy sukurs, rzucił

się ku drzwiom, otworzył je i począł wołać z całej siły:

— Schwalbenschweif! Schwalbenschweif!

Tego było zawiele dla Karola. W okamgnieniu postanowił, dla uniknienia dalszego skandalu w pokoju, w którym była panna Milcia, przenieść przynajmniej teatr wojny na kurytarz, albo na schody. Rzucił się tedy na pana Sarafanowycza, i schwycił go — tak przynajmniej stoi w owym protokule — schwycił go za prawe ucho. Pan Sarafanowycz, chcąc się cofnąć, przymknął sobą drzwi, które niestety, otwierały się z kurytarza na pokój, wskutek czego wszelka bezpośrednia komunikacya ze schodami została przeciętą. Pan adjunkt zmuszony był w skutek tego cofać się ku drugim drzwiom, i zdołał oswobodzić swoje prawe ucho dopiero wtenczas, gdy już pootwierały się były wszystkie drzwi, prowadzące do bawialnego pokoju: z jednej strony pojawiła się pani Precliczkowa, z drugiej Schwalbenschweif i Newełyczko, a z trzeciej, w szlafroku i pantoflach, sam pan forszteher. Uwolnienie ucha pozbawiło jednak pana Sarafanowycza na chwilę niezbędnej każdemu ciału równowagi, tak, że wraz z wejściem wszystkich osób, znalazł on się na ziemi, w pozycyi nader niekorzystnej dla wszelkiego *decorum* urzędowego i prywatnego. Pan forszteher przez cały długi przeciąg swego urzędowania, nie widział nigdy tak gorszącej sceny.

ROZDZIAŁ XIV,

z którego pokazuje się, że ks. Nabuchowycz będzie musiał szukać innej żony dla swego siostrzeńca.

Za dawnych, świetnych, rycerskich czasów należało to do dobrego tonu, dowieść swojej wyższości na skórze rywala, wysadzić go z siodła na turnieju lub nabić mu w inny sposób porządnego guza. Dziś nie jest to ani *bon genre*, ani też nie uchodzi bynajmniej za dowód jakiejkolwiek wyższości. Mówią nap., że konserwatywna, ministeryalna frakcya reprezentantów narodu galicyjskiego w Rajchsracie wiedeńskim posiada w osobie pewnego niepospolicie wyrośniętego syna podkarpackiej krainy tak dzielne *brachium militare*, że właściwie całe opozycyjne dziennikarstwo powinnoby drżeć ze strachu wobec chwili, w której ten Don Kiszot huculski wystąpi czynnie w obronie słynnego „podporządkującego“ programu. Nie słychać atoli, by którykolwiek z zagorzałych naszych rezolucyonistów dzwonił zębami, a choćby zresztą który z nich poniósł nakoniec jaki szwank fizyczny, nie byłoby to, w mniemaniu powszechnem, na żaden sposób moralnem zwycięztwem interesów ogólno-państwowych nad „podporządkowanemi“ interesami królestw Galicyi i Lodomeryi z ich przyległościami. Dlatego też obawiam się, że opisany w poprzednim rozdziale i później protokularnie stwierdzony zamach pana Schreyera na prawe ucho pana Sarafanowycza, w dzisiejszem, nieromantycznem stu-

leciu, nie podniesie zwycięzcy do większego znaczenia w oczach opinii publicznej, a narodnost' pognębiona, wytargana za uszy i wywrócona na ziemię w osobie jednego z najrewniejszych swoich borytełej, weźmie stąd świeży i słuszny asumpt do skarg na okropne posiagatielstwa ze strony Lachów. Jeżeli już tedy nie ze względu na wyższą rangę służbową swego przeciwnika, to ze względu na potrzebę zgody ze stronnictwem *Słowa*, pan Schreyer powinienby był hamować swoją popędliwość i nie dopuszczać się tak czynnego naruszenia stosunków międzynarodowych.

Ale stało się! Pan Sarafanowycz leżał na ziemi, pan Schreyer stał nad nim z wyrazem twarzy nieznamionującym najmniejszej skruchy za ten czyn karygodny, Milcia mocno przerażona chroniła się w objęcia matki, a pan Precliczek patrzał na całą tę scenę z miną w najwyższym stopniu zdziwioną i zgorszoną.

Tylko pan Newełyczko i p. Schwalbenschweif nie brali jakoś udziału żywego w tem, co się działo przed ich oczyma — zdawało się, jak gdyby obydwaj byli zajęci jakiemiś daleko ważniejszemi myślami. Co się tyczy pana Schwalbenschweifa, mogę zapewnić, że był on w tej chwili, równie jak codzień o tej porze, po dwunastej już szklance piwa, i że wpływ tego nektaru ożywiał wprawdzie i tak już mocno rumianą cerę jego policzków i nosa, ale natomiast pod względem umysłowym objawiał się najwyższą obojętnością na wszystko, co się koło niego działo. Wszak nieraz widział p. Schwalbenschweif

— *Aber das ist ja ganz unmöglich!* — powtórzył pan adjunkt. — Proszę panny Emilii, cy ja sobie nie j e z d e m n i c z e g o? C y może nie adjunkt? Panna Emilia zrobi wielkie szczęście, jak pójdzie za mnie! — I pan Sarafanowycz wyprostował się, jak świeca, w całej swej długości, ażeby Milcia mogła lepiej przypatrzyć się swemu przyszłemu szczęściu. Milcia przypatrywała się tymczasem panu Schreyerowi, który gryzł wargi, ażeby się nie rozśmiać z swego pana adjunkta.

— Ślicznie dziękuję panu — odpowiedziała nakoniec — ale może się znajdzie inna, godniejsza tego szczęścia. Ja go na żaden sposób przyjąć nie mogę.

— Et, niech-no panna Emilia nie robi ceremonii, ja bardzo proszę — odparł pan adjunkt, i z wyrazem największej pewności zwycięztwa w twarzy, przysunął się do Milci, ażeby ją pocałować w rękę.

Co to może narobić złego jeden kilkowierszowy artykulik w *Lembergerce!* Pan Precliczek, który przez dwa dni irytował się tak mocno po stronie pana Sarafanowycza, był teraz w największej obawie, by Milcia nie uległa przekonywującej elokwencyi tego „niczego“ młodzieńca. Jeżeli *Umsturzpartei* mogła zbliżać się do rządu tak, jak to właśnie wyłuszczył był pan Capowicki, to dlaczegóżby Milcia nie miała zmienić zdania? Pan Precliczek rad był prawie z obecności pana Schreyera w pokoju, tym razem przynajmniej *der verfl.... Polack* przydać się mógł na coś i ocalić mu jego 15,000 złr.,

zagrożonych tak niepotrzebnie w chwili, gdy pan Summer był już w drodze do Czerniowiec, a ksiądz Nabuchowycz przestawał mieć jakiekolwiek znaczenie po za obrębem swego dekanatu. Co do pana Schreyera, pan Precliczek postanowił był sobie już od kwadransa nie wysyłać przygotowanego od wczoraj *Berichtu*. Wobec zmiany w namiestnictwie, zajście, do którego dały powód cytacye, pisane po polsku, przybierało odmienną zupełnie postać, i najlepiej było pokryć całą tę sprawę wiecznem milczeniem. Pan Schreyer mógł zresztą bruździć mocno w procesie o ów *Nebenumstand*, zapomniany przy śledztwie pana Mykity, i teraz, kiedy wszystkie szanse były przeciw panu Precliczkowi, nie należało drażnić człowieka, który miał nie dla samej symetryi głowę na karku. Pan Precliczek pojął szybko tę nową sytuacyę i przyrzekł sobie, że zaniecha także śledztwa o udział w powstaniu, które miał wytoczyć przeciw p. Schreyerowi. Widzimy stąd, że pan Precliczek był dobrym politykiem i że nie kierował się żadnemi zasadniczemi uprzedzeniami — zupełnie, jak nasi delegaci w Wiedniu, którzy popsuwszy sprawę ze swoimi wyborcami, starają się być przynajmniej dobrze z ministerstwem.

Kiedy więc pan Sarafanowycz z całą powagą swoją, jako c. k. adjunkt, i z całą gracyą, jako konkurent, proszący o rękę, przysuwał się do Milci, pan Precliczek spojrzał po wszystkich obecnych wzrokiem, w którym było tyle niepokoju, co ciekawości, krząknął i zapytał się nagle:

— Nu, pane Schreyer, co pan tak, pantopro-

czeu, nic nie mluwi? — Była to wielka niegrzeczność, przerywać w ten sposób uroczysty krok pana Sarafanowycza, który stanął w pół drogi, jak wryty.

— *Er ist ja suspendirt!* — zawołał, jak gdyby to miało wyjaśniać, dlaczego pan Schreyer „nic nie mluwi".

Tu pan Precliczek pofolgował wspaniałomyślnym uczuciom, tkwiącym w jego duszy, i oświadczył, że cała sprawa wczorajsza niewarta właściwie funta kłaków; że właściwie on tylko jeden jest tu obrażonym, ale nie chcąc szkodzić młodemu i tak zdolnemu urzędnikowi, chętnie złoży wszystko *ad acta*. — *Es ist übrigens mehr als billig* — dodał — ażeby stronom doręczać cytacye *in ihrer Muttersprache. Das ist eigentlich der Wunsch Hohen Regierung, und der Wunsch der Bevölkerung, ich muss das am besten wissen, denn ich bin eigentlich ein Galizianer.*

Tak tedy, w przeciągu piętnastu rozdziałów, dowiedzieliśmy się *eigentlich* o trzech narodowościach, do których liczył się z kolei pan Precliczek. Pan Sarafanowycz był zresztą bardzo mało zbudowanym tą mową pana Precliczka i zapytał z nieutajonym złym humorem:

— *Ja, gut Herr Bezirksvorsteher, aber mein Ohr?*

— *Was ist mit Ihrem Ohr?*

— *No, mein Ohr, mein rechtes Ohr* — powtarzał pan Sarafanowycz.

Milcia spostrzegła, że zanosi się na ustną rozprawę, w której i ona mogła być skom-

promitowaną. Wstała tedy spiesznie i wyszła z pokoju, a Pani Precliczkowa za nią. Jestem przekonany, że obydwie panie słuchały pod drzwiami dalszej rozmowy, choć obiecałem w imieniu mojej bohaterki, że podobna niedyskrecya nie wydarzy się więcej.

Pan Sarafanowycz poskarżył się teraz obszernie panu forszteherowi i opowiedział mu ze wszystkiemi szczegółami, jak *die Fräulein Tochter* „romansowała“ sobie z panem Schreyerem, i jak pan Schreyer postąpił sobie potem z uchem pana adjunkta. Pan Precliczek słuchał uważnie, a jeszcze uważniej słuchała pod drzwiami Milcia, co dalej będzie z tą sprawą? Pan Schreyer zmiarkował był oddawna, jak rzeczy stoją, i z największym spokojem oczekiwał swego losu. Nakoniec odezwał się pan Precliczek. Milci biło serce gwałtownie, była blizką zemdlenia. Po tem, co się działo w domu od dwóch dni, mogła uważać za rzecz prawdopodobną, że ojciec każe zawołać żandarmeryę, przywiązać Karola do wielkiej lipy na dziedzińcu i rozstrzelać bez miłosierdzia, poczem akta odesłane będą sądowi karnemu *zur weiteren gefälligen Amtshandlung.* Tymczasem ojciec, obrócony bokiem do pana Sarafanowycza, powiedział tylko, podnosząc ramiona i rozkładając ręce:

— *Ja, lieber Freund — was kann ich dafür! Si können halt eine Ehrenbeleidigungsklage anstrengen* — i... i wyszedł do swego pokoju.

Milcia rozpłakała się z radości, chciała już biedz do ojca i ucałować mu ręce i nogi za tę niesłycha-

ną łagodność — ale wstrzymała ją matka. Pan Sarafanowycz osłupiał i stał na środku pokoju, patrząc się bezmyślnie napozór w okno, przez które widać było ostatnie, czerwone połyski dnia na zachodniem niebie. Ale podczas gdy ściemniało się na dworze, poczęło się rozwidniać w głowie pana adjunkta. Nagle uderzył się pięścią w czoło, schwycił ze stołu list od szanownego wujaszka, i zabierając się do wyjścia, przystąpił jeszcze do Karola, który przez cały ten czas stał oparty o jakąś szafę, z rękoma w kieszeni i z najobojętniejszą miną w świecie.

— Pan myślisz — rzekł mu pan Sarafanowycz, pieniąc się ze złości i wyszczerzając swoje dwa żółte zęby — pan myślisz, że kiedy jeden człowiek został gubernatorem, to już wam wszystko wolno? Jeszcze ja doczekam, że tacy, jak pan, będą kajdankami dzwonić!

I pogroziwszy pięścią, pan Sarafanowycz, nie czekając odpowiedzi, wyszedł z pokoju, trzasnął drzwiami, i w trzy tygodnie później ożenił się z panną Anastazyą Worobcianką, córką księdza z Podmościc. Posag wynosił sześć tysięcy złr. w gotówce, oprócz srebra, fortepianu i dwóch futer, jakoteż pary kasztanków z nową najtyczanką i innych porządków, nader pożądanych w stanie małżeńskim.

*

* *

W dziesięć dni później, Capowice były widownią ogromnej demonstracyi politycznej. Od same-

go rana do późnego wieczora bito w dzwony i strzelano z moździerzy, a wieczorem, jak pisze *Gazeta Narodowa* z października 1866 r. w stu ośmdziesięciu korespondencyach i czterech korespondencyach z prowincyi, „całe miasto, nagle jakby różdżką czarodziejską tknięte, zajaśniało rzęsistą iluminacyą". Dudio wystawił transparent, na którym wyobrażony był ces. król. orzeł dwugłowy, pod którego skrzydła tulił się z jednej strony portret JWielmożnego Capowickiego, jako właściciela propinacyi, a z drugiej portret pana Precliczka, jako naczelnika rządu w Capowicach. Była to, według słów korespondencyi „piękna artystyczna robota pana aptekarza miejscowego." Oprócz tego — „wielkie tłumy ludu, z muzyką na czele, przeciągały od ratusza do gmachu becyrkowego, także świetnie oświetlonego, i wznosiły tysiączne okrzyki wdzięczności dla Najjaśniejszego Pana, dla hrabiego Belcrediego i dla hrabiego Gołuchowskiego." Bracia wyznania mojżeszowego krzyczeli: „wiwajt!", a pan profesor akademii capowickiej, wraz z panem oberaufseherem od straży skarbowej, krzyczeli: „Niech żyje Polska!—i włos im za to nie spadł z głowy. Korespondent, który opisywał tę uroczystość, ma dotychczas żal do kronikarza *Gazety Narodowej*, iż tenże nie wydrukował w całości ani mowy, którą Wielmożny Kalasanty Capowicki przy obiedzie, który dawał dnia tego, miał do pana Precliczka, ani tej, którą pan Precliczek odpowiedział panu Capowickiemu. Ale obywatele powiatu Capowickiego, „oddając hołd prawdziwej zasłudze", nadesłali później inserat, który, za opłatą

sześciu centów od wiersza drobnym drukiem i 30 centów należytości stemplowej, ogłosił światu, iż „nasz naczelnik powiatowy, pan Wacław Precliczek, jakkolwiek niekrajowiec, łączy w jednej osobie wszystkie zacne i dobre przymioty jako obywatel, jako człowiek i jako urzędnik, i jemu też cały powiat kwitnący swój stan materyalny i moralny zawdzięcza, albowiem niezmordowaną gorliwością swoją nie przestał nigdy około dobra całego powiatu capowickiego być czynnym", et caet., et caet.

Ale utylitarna polityka hrabiego Gołuchowskiego była nieczułą na ten wymowny dokument, jakkolwiek należycie opłacony i ostemplowany. Wprawdzie nie pokazało się w drodze sądowej nic, coby mogło stawiać w dwuznacznem świetle brak odwagi ces. król. sądu capowickiego *auf. einen Nebenumstand* w procesie pana Mykity i ludzie szeptają sobie, że pan Schreyer przyczynił się mocno do tego, by historya pierwotnego śledztwa z panem Mykitą nie wypadła na niekorzyść jego szefa. Była to ze strony pana Schreyera tranzakcya z własnem sumieniem, którą uniewinnia, a przynajmniej tłumaczy, wzgląd na bohaterkę niniejszej powieści. Pan Mykita wrócił zresztą po czterech miesiącach z więzienia, gdzie, jak mówili sąsiedzi tego zacnego obywatela, „zrobyły jemu *Mangel*". Po bliższem rozpytywaniu się przyszedłem do wiadomości, że *Mangel* był to sposób wymierzania sprawiedliwości, używany za dawniejszego systemu, osobliwie w tych wypadkach, gdzie złoczyńca schwytany był na gorącym uczynku, albo przekonany przez świadków, ale sam

nie chciał przyznać się do winy. Teraz skasowano *Mangel* i zamykają złoczyńców dłużej, ale za to urządzają im pobyt w więzieniu ile możności najprzyjemniej.

Lecz mimo szczęśliwego zakończenia tej sprawy, nietylko hrabia Gołuchowski, przy reorganizacyi urzędów politycznych, zapomniał p. Precliczka, ale nawet nowy prezes apelacyi nie przypomniał go sobie przy mianowaniu sędziów powiatowych i obecnie zacny ten mąż, „równie zasłużony jako człowiek, jako urzędnik i jako obywatel", przeniesiony jest w stały stan spoczynku i mieszka we Lwowie, nie tając swej chęci dla utylitaryzmu galicyjskiego i swojej właściwej narodowości, *denn er ist eigentlich ein Böhme, Vaclav Prečlicek, aus Jung-Bunclau; zivili Slovane!*

A panna Emilia? Ta zadowolona jest jak najzupełniej z „nowej ery", która ją uwolniła od pana Sarafanowycza. Pan Precliczek nie odrazu wprawdzie przezwyciężył swoją antypatyę ku Karolowi, ale gdy ten stał mu się potrzebnym z powodu słynnego *Nebenumstandu* i z góry oświadczył, iż nie myśli żądać żadnego posagu, p. Precliczek powiedział nakoniec Milci:—*So mach meinetwegen was du willst.*— Jeszcze tedy przed przeniesieniem urzędu powiatowego z Capowic, ksiądz Zając miał sposobność do ponowienia przepisanego przez konkordat protokułu z Milcią — a tym razem wszystko poszło jak z płatka, pominąwszy tę okoliczność, że Karol zawieruszył był gdzieś swoje świadectwo szczepionej ospy, a ksiądz Zając, jako wielki formalista, nie chciał go

kopulować, póki konsystorz nie dał wyraźnego pozwolenia na ślub bez powtórnego szczepienia ospy. Obecnie państwo Schreyerowie mieszkają gdzieś w Stanisławowskiem, czy Żółkiewskiem, a pan Karol jest sędzią i członkiem Rady Powiatowej, i nie pisze już wierszy. Pani Karolowa także już mniej zatrudnia się literaturą, bo młodszy pan Schreyer, liczący obecnie półtora roku, daje jej wiele do czynienia. Pan Sarafanowycz, jako nadliczbowy adjunkt, przydzielony został do któregoś starostwa na Mazurach. Nie słyszałem atoli, by w nim odkryto jakiekolwiek zdolności konceptowe lub inne. Zachodzi tedy obawa, że wkrótce powołanym będzie na jakąś wyższą posadę, jeśli najnowsza era, która nastąpiła obecnie, nie ustąpi miejsca jeszcze nowszej.

Lwów w marcu i kwietniu 1869.

ANNOWANO
Biblioteka Główna w Kielcach UJK

Biblioteka UJK Kielce
UJK
0427221